NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 22 czerwca 1907. Nr. 25.

Krew na weselu.

(Treść na stronie 14).



Zjazd Polek w Warszawie.

»W czyją to cześć te serca biją dzwonem?
»Komu chcą nieść snop kwiecia wraz z pokłonem?
»Pod czyj to znak, na czyje hasło spieszy
»Rwący się ptak, duch tej niewieściej rzeszy?

W cześć Elizy Orzeszkowej i pod jej znakiem stanęły w Warszawie zastępy kobiet polskich, w cześć „hetmanki dusz niewieścich", co wchłania w siebie wszystkie bóle i tęsknoty serca ludzkiego, co kroczy przed całym naszym narodem,



Zjazd Polek w Warszawie: Jubilatka Eliza Orzeszkowa, honorowa przewodnicząca Zjazdu.

jak dobry jego anioł-stróż. Czterdzieści lat trwa praca i służba Orzeszkowej, pełna poświęcenia i trudów, ofiarna niezwykle, ale też i płodna w obfite plony. Za tę służbę wierną, za wysiłki szlachetne, złożył jej hołd cały naród polski, święcąc uroczyście jej jubileusz. A teraz złożyły jej hołd swój kobiety polskie, na zjeździe w ubiegłym tygodniu w Warszawie.

Zainteresowanie, jakie towarzyszyło temu pierwszemu zjazdowi kobiet w Warszawie, było powszechne. Dyskutować miano o sprawie kobiecej, o sprawie, której dziś z porządku dziennego zepchnąć nie podobna, tak stała się piekącą, tak ważną. A w dyskusyi ścierać się miały ze sobą opinie najrozmaitsze, bo rozmaite i różnorodne były elementy, które zjazd ten tworzyły. Obok kobiet o przekonaniach na wskróś konserwatywnych, zasiadły na wiecu warszawskim kobiety postępowe, radykalistki najprzeróżniejszego autoramentu. Stąd też ton obrad, na ogół poważny, obfitował w momenty polemiczne, które jednak w ostatnich godzinach trwania wiecu przemieniły się w niesmaczne, trywialne zajścia.

W zjeździe warszawskim, który trwał cztery dni, wzięły udział kobiety ze wszystkich dzielnic Polski, a nadto delegatki z Petersburga, Moskwy, Odessy, Kijowa. Honorową przewodniczącą była Eliza Orzeszkowa, która jednak nie mogła osobiście przybyć. Przewodniczyły tedy znakomita nasza pieśniarka Marya Konopnicka i dr. Tomaszewicz-Dobrska. Obrady toczyły się albo w plenum, albo w sekcyach: wychowawczej, społeczno-etycznej, ogólnoświatowej i ekonomicznej.

Niepodobna tu przytaczać całego szeregu rezolucyj i uchwał, powziętych w toku czterodniowych obrad, a tem mniej wdawać się w ich ocenę. Zaznaczyć tylko należy, iż przedmiotem obrad i uchwał były wszystkie najważniejsze kwestye kobiece. Hasłem zaś, pod jakiem obradowano, było zupełne równouprawnienie kobiet pod względem politycznym, społecznym i gospodarczym.

Wśród uczestniczek zjazdu nie brakło oczywiście kobiet z Galicyi. Z Krakowa były panie: Bujwidowa, Grünwaldowa i Turzyma, ze Lwowa pp. Aleksandrowiczówna i Longchamps.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret honorowej przewodniczącej Zjazdu, Jubilatki Elizy Orzeszkowej, nadto zdjęcie grupy ogólnej uczestniczek zjazdu oraz zdjęcie grupy sekcyi oświatowo-wychowawczej.

Bolesny cios.

Cenionego i powszechnie szanowanego publicystę p. Kazimierza Bartoszewicza dotknęła Opatrzność ciężkim i bolesnym ciosem. Oto zmarła w ubiegłym tygodniu Marya Aldona Bartoszewiczówna, córka jego, a wnuczka znakomitego historyka śp. Juliana Bartoszewicza. Zmarła w kwiecie wieku, kiedy się do niej świat cały uśmiechał, odeszła jako dziewica w lepszą krainę, bolesną po sobie zostawiając pustkę w sercach strapionych rodziców.

Śp. Marya Bartoszewiczówna padła ofiarą gwałtownej choroby piersiowej, której nabawiła się przed kilku zaledwie tygodniami. I nie pomogła wiedza lekarska, nie pomogły żadne zabiegi, ni troskliwa opieka macierzyńska. Złośliwa, niepoczciwa śmierć zabrała swą ofiarę...

Boleść rodziców, osieroconych tą nagłą wprost i niespodziewaną stratą, łatwo zrozumieć, zwłaszcza że w śp. Maryi tracą już drugą córkę. Drugą i ostatnią. Dziecię drogie, nad wszystko ukochane, dziecię, z którego przyszłością tyle nadziei, tyle się wiązało marzeń rodzicielskich!...



Bolesny cios: Ś. p. Marya Aldona Bartoszewiczówna.

Niechajże powszechne współczucie, jakie ciężko dotkniętym rodzicom towarzyszy, będzie im ulgą i pociechą w strapieniu. Niechaj nią będzie i to krótkie, lecz z ciepłego serca płynące wspomnienie, oraz szczere wyrazy współczucia, które z naszej strony im zasyłamy.

Stowarzyszenie rękodzielników im. Jana Kilińskiego w Stanisławowie.

W dniu 9. bm. odbyła się w Stanisławowie piękna uroczystość poświęcenia nowego lokalu stow. rękodzielników im. Kilińskiego. Stowarzyszenie to istnieje od lat kilku dopiero, ale ruchliwością swoją i żywotnością potrafiło skupić w murach swoich bardzo znaczny zastęp rękodzielników i mieszczaństwa, tak iż w rzędzie towarzystw stanisławowskich, obok starszego, bratniego stowarzyszenia „Gwiazdy", zajęło bardzo poważne stanowisko. Szczególnie rozwinęło się



Zjazd Polek w Warszawie: Sekcya oświatowo-wychowawcza.

ono pod obecnym prezesem p. Oskarem Domiczkiem, który zaletami osobistemi potrafił zjednać dla niego dużo sympatyi.

W ostatnich tygodniach odegrało stowarzyszenie to bardzo znaczną rolę przy wyborach do Rady państwa i przyczyniło się niemało do zwycięstwa posła Stwiertni.

Podczas uroczystości ostatniej przyjmował wydział Towarzystwa im. Kilińskiego liczne grono gości w pięknym swoim nowym lokalu a pamiątką tego święta jest wspólna fotografia uczestników jego, zdjęta na tle stylowego portyku pięknego budynku, w którym się obecnie mieści to sympatyczne stowarzyszenie.

W pierwszym rzędzie siedzą pomiędzy innymi: poseł Stwiertnia, jako prezes stowarzyszenia „Gwiazda“, prezes Tow. im Kilińskiego p. Domiczek, oraz delegaci innych Towarzystw.

Podwójny mord w Czerniowcach.

Ogromną sensacyę wywołał w Czerniowcach wstrząsający swą grozą wypadek, jaki zaszedł tam przed paru dniami w domu kupca, p. Stefana Gainy, przy ul. Fleischera l. 16. Sprawa przedstawia się następująco:

Przed kilkoma miesiącami przyjęty został do sklepu p. Gainy jako pomocnik handlowy Ludwik Majewski. Jest to silnie zbudowany młodzieniec, liczący lat 21, rodem z Czorn, powiatu brzeskiego, nadzwyczaj niezgodliwy i szorstki w obejściu z kolegami i publicznością. Przez swych kolegów nie był lubiany, stąd też przychodziło do częstych starć między nim a kierownikiem sklepu, Danielem Pamułą.

Wskutek tego p. Gaina widział się zmuszonym wypowiedzieć Majewskiemu miejsce i rzeczywiście uczynił to w dniu 1 b. m., zapowiadając mu, by się w przeciągu 6 tygodni postarał o nową kondycyę.

Od tego czasu Majewski zapałał nienawiścią ku Pamule, uważając go za bezpośredniego sprawcę utraty posady i niejednokrotnie odgrażał się, że musi Pamułę zgładzić ze świata; nikt jednak groźby jego nie brał na seryo.

Majewski, wróciwszy we środę wieczorem do domu, położył się spać w ubraniu. Następnego dnia wstał nad ranem o g. 4, nabił rewolwer i wszedł do pokoju, w którym spało trzech praktykantów sklepowych, stamtąd zaś do drugiego pokoju, w którym spali znienawidzeni przez niego: dysponent handlu p. Gainy, Daniel Pamuła i starszy subjekt handlowy, Wilhelm Peszyński. Peszyński w chwili wejścia Majewskiego obudził się. Wówczas Majewski wyciągnął rewolwer i dał do niego trzy strzały, raniąc go śmiertelnie w pierś, skroń i rękę.

Wskutek huku strzałów zbudził się Pamuła; w tej chwili przyskoczył doń Majewski i strzelił dwukrotnie, raniąc go w okolicę prawego oka i w ramię. Peszyński utracił w tej chwili przytomność, Pamuła pomimo ciężkich ran był przytomny.

Po spełnieniu tego strasznego czynu Majewski wyszedł do miasta i dorożką zajechał przed gmach policyi, gdzie urzędnikowi wręczył rewolwer, oświadczając krótko i węzłowato, że jest subjektem, pozostającym w obowiązku u p. Gainy i że właśnie zastrzelił dysponenta i innego kolegę, a to z powodu szykan od nich doznawanych, jakoteż dlatego, że z ich winy pryncypał wypowiedział mu kondycyę. Oddaje się w ręce sprawiedliwości, ponieważ nie obawia się zasłużonej kary. Przy przesłuchiwaniu w dyrekcyi policyi Majewski zachowywał się cynicznie i nie okazywał żadnej skruchy.



Zjazd Polek w Warszawie: Ogólna grupa uczestników. W środku znakomita poetka p. Marya Konopnicka (×).



Stowarzyszenie rękodzielników im. Jana Kilińskiego w Stanisławowie: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia nowego lokalu towarzystwa. Między obecnymi: 1. Prezes »Gwiazdy« poseł Stwiertnia; 2. Mecenas dr. Katzenellenbogen; 3. Prezes towarzystwa im. Kilińskiego p. Oskar Domiczek.

Po południu ostawiono go do sądu krajowego, gdzie przesłuchiwał go sędzia śledczy p. Fida. Majewski oświadczył tu, że żałuje, iż także sobie samemu życia nie odebrał. Dodał nadto, iż chciał zabić jedynie Pamułę, który go sekował i przyprawił o utratę kawałka chleba, do Peszyńskiego strzelił jedynie z obawy, by ten go nie wydał. Majewski prosił w końcu, by znalezioną przy nim kwotę 27 kor. odesłano jego rodzicom, żyjącym w nędzy.

W więzieniu zachowuje się Majewski spokojnie i czytuje książki treści religijnej. Lekarze twierdzą, że cierpi on na zboczenie umysłowe, sąd uchwalił więc zawezwać ojca Majewskiego, aby dowiedzieć się o sposobie jego wychowania i czy nie zdradzał on w młodości anormalnego sposobu myślenia.

Pogrzeb zamordowanego przez Majewskiego Wilhelma Peszyńskiego odbył się na koszt p. Gainy w niedzielę po południu, przy niezwykłym udziale publiczności. Ranny Pamuła ma się lepiej i należy się spodziewać, że życie jego zostanie ocalone, jednak z utratą prawego oka.

Obok zamieszczamy zdjęcie pokoju, w którym rozegrało się krwawe zajście, dalej portrety: mordercy Majewskiego, oraz ofiar zajścia, śp. Wilhelma Peszyńskiego i ciężko rannego Daniela Pamuły.



Podwójny mord w Czerniowcach: Ofiara mordu Wilhelm Peszyński.



Podwójny mord w Czerniowcach: Morderca Ludwik Majewski.



Podwójny mord w Czerniowcach: Ofiara mordu Daniel Pamuła.



Podwójny mord w Czerniowcach: Pokój sypialny, w którym rozegrał się straszny dramat.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

28 Ciąg dalszy

— Na waszą pracę społeczno-polityczną trzeba legalnych warunków życia, a my w nich nie żyjemy.

— Pracowaliśmy dziesiątki lat we wszystkich trzech zaborach — odpowiedział Szawelski — a ilu z naszych poszło w katorgi, na Sybir, do więzienia—wiecie sami dobrze. Za nami jest ogromna większość narodu, a my nie możemy losów naszych powierzać nieskoordynowanym wybuchom rewolucyjnym, które wyniszczają kraj i wprowadzają gorączkę wyczekiwania cudu, a naród odrywają od pracy kulturalnej, od sposobienia się do walki o byt. Bo i co ten wasz system bezcelowych strejków przyniósł dobrego? Upadek przemysłu i handlu, ogólne zbiednienie kraju, nędzę robotników, zaprowadzenie rządów wojskowych, wzrost władzy policyi i biurokracyi... chyba że wyznajecie zasadę—uśmiechnął się — im gorzej, tem lepiej.

— Nie przeczę, że dużo strejków było bezcelowych, ale wskażcie mi sposób, aby operując wielką masą ludzi, rozrzuconych w całym kraju, utrzymać ich temperament i uczucia w karności wojskowej. My prowadzimy walkę na dwa fronty, jedną przeciwko rządowi, a drugą przeciw wyzyskowi.

— I rozniecacie wojnę bratobójczą — odezwał się ironicznie Brejkowski – podniecając najniższe instynkta mas; budzicie nadzieje, niedające się urzeczywistnić w praktyce, zaostrzacie apetyt do cudzej własności, posuwacie się do grabieży i mordów!

— Zwolna, zwolna — rzekł z naciskiem szczególnym Bal — niech się szanowny obywatel uspokoi i używa zwrotów i słów parlamentarnych.

— Istotnie, uniosłem się — bronił się Brejkowski — ale treści nie cofam, jedynie formę.

— Otóż panowie — przymrużył Bal oczy — my jesteśmy tą Polska, walczącą o wolność od przeszło stu lat. Jeśli kto z nas może mówić o tradycyi narodowej, to tylko my... jeśli kto może powołać się na Kościuszkę, Legiony, rok czterdziesty ósmy, rok sześćdziesiąty trzeci, tylko my, a wy jesteście tą większością, solidną, spokojną, wytrwałą, która czeka bezwładnie, jak skończy się walka.

— Za dużo pretensyi — uśmiechnął się ironicznie Szawelski — przez pana przemawia młodość, no i zrozumiała dla mnie zarozumiałość, bo gdzież wam równać się z poprzedniemi naszemi walkami. Wasze pola bitew, to ulice, fabryki, warstaty... żołnierze bez broni, a dowódzcy w pokojach.

Wszedł usługujący z potrawami i zebrani poczęli mówić o nowinach dnia, dopiero po wyjściu usługującego, gdy rozmowa ogólna się wyczerpała, przemówił Porwa:

— Pomijam pańskie docinki — spojrzał na Szawelskiego — one nas ani bolą, ani drażnią i li tylko dla przykładu wezmę rok sześćdziesiąty trzeci. Z jednej strony garstka młodzieży z bronią w ręku porwała się na pierwszorzędne mocarstwo, z drugiej strony Wielopolski ze swym programem i biali dążący do pogodzenia się z rządem, powstrzymujący rozlew krwi, prorokujący niechybną ruinę kraju i zaprzepaszczenie narodu. Ci czerwoni, jak zawsze i wszędzie w każdej rewolucyi, obok celów politycznych głosili rewolucyę ekonomiczną, wolność chłopów, obdarowanie ich ziemią. Cóż my robimy innego? Naszem hasłem niepodległość Polski i poprawa bytu wszystkich uciskanych ekonomicznie, czy to robotnik, czy chłop bezrolny. I dlatego słusznie powiedział mój przyjaciel, że my jesteśmy tą tradycyą narodu walczącego o wolność.

— *Comparaison n'est pas raison* — rzekł uśmiechnięty Szawelski — wasze hasła trącą międzynarodówką, z Polską nie mają tak dalece związku i co za walka z rządem, gdy jemu nie robi się żadnej krzywdy a gubi się kraj.

— Frazes, nic więcej — mówił Bal, siląc się na spokój — mieszkając w Europie, podlegamy jej prądom i hasłom w nauce, sztuce, literaturze i w dążnościach społecznych. U nas socyalizm jest tak dobrze uprawniony, jak w innych krajach europejskich. A że nasi żołnierze bez broni, dowódzcy w pokojach, a bitwy we fabrykach, to trudno, abyśmy dla waszego zadowolenia narażali się na szybkostrzelne karabiny i armaty... walczymy stosownie do posiadanej broni. W ręku mamy strejk i tą bronią walczymy, a chyba pan przyzna, że tylko dzięki strejkowi młodzieży mamy polskie szkoły.

— W znacznej mierze przyczyniła się do tego bezradność rządu... — zrobił uwagę Brejkowski.

— W tem cała sztuka — zaśmiał się Bal — aby wyzyskać chwilę.

— I my ją chcemy wyzyskać — rzekł z przekonaniem Szawelski — rząd po klęskach wojny musi zmienić system i wówczas na legalnej drodze wywalczymy nasze prawa, bez zniszczenia kraju i ludności.

— Rząd da cokolwiek? — uśmiechnął się Porwa ironicznie — utopia! Rząd trzeba zmusić, on musi mieć przeciwstawioną siłę, tej się ulęknie i odda władzę. I gdy naród rosyjski żąda wolności, gdy wrze i kipi, my, najbardziej pokrzywdzeni w tem państwie, mamy stać pokornie i czekać, kto nas będzie strzygł, zwycięzcy, czy zwyciężeni?! Na to my nie możemy się zgodzić i będziemy walczyli...

— Sprowadzając z całą świadomością ruinę kraju i rządy wojskowe z rozporządzeniami drakońskiemi, jak owe przed dwoma dniami. Ładni z was zbawcy — drwił Brejkowski — przemysł upada, handel zanika, co bogatsi wyjeżdżają.

— I tak dalej — śmiał się Bal — znamy tę bajeczkę... A czy w Królestwie było kiedy swobodniej od czterdziestu lat, jak obecnie? Szkoły polskie, w urzędach wolno mówić po polsku, wolność wyznań, nawet wolno grać komedyę wyborów ludziom ambitnym lub łudzącym się. I to my zrobiliśmy, socyaliści, lecz dla nas nie przyszedł jeszcze czas walczenia z rządem legalnie, naszem zdaniem te okruchy są niczem, my żądamy wolności, swobody, samodzielności i wywalczymy!

— Cenię pana zapał — rzekł Szawelski — ale w polityce rozum decyduje, nie zapał. Otóż w imię interesu narodu, w imię jedności, w imię Polski wzywam was panowie, zaprzestańcie waszej zabawy, nie wywołujcie strejków, nie podniecajcie robotników, nie karzcie doraźnie osób rządowych, nam trzeba jedności, siły moralnej i ekonomicznej, karności społecznej. Zrozumiejcie, że nasz program prowadzi pewną, chociaż długą i ciężką drogą do autonomii Królestwa, a gdy ją posiądziemy, możemy wówczas spierać się i walczyć, chociażby nawet o socyalizm. Przyznaję sam, że Bułyginowska t. zw. konstytucya jest parodyą, ale zawsze nastręcza sposobność głośnego wypowiedzenia naszych krzywd i sformułowania naszych żądań.

— A te są? — spytał Porwa.

Szawelski spojrzał po obecnych, przez chwilę milczał, wreszcie rzekł z naciskiem:

— Autonomia Królestwa z własnym sejmem.

Te słowa nie zrobiły wrażenia oczekiwanego, a Bal odpowiedział:

— Mieliśmy już i autonomię, i sejm, i własną skarbowość, i własne wojsko... i odebrano nam. Zechciejcie tedy panowie zrozumieć, że my Polacy musimy być w pewnym sojuszu z rosyjską partyą wolności.

— Łączycie się z ginącymi, aby sami zginąć i Królestwo pociągnąć za sobą — odezwał się Brejkowski — w Rosyi tworzy się silna partya konstytucyjna i my z nią pójdziemy, gdyż jasną jest rzeczą, że skoro w Rosyi będzie konstytucya i my będziemy ją mieli.

— Lecz ta partya konstytucyjna — mówił Szawelski — będzie wówczas z nami się liczyła, gdy będziemy silni. Siła narodu nie mierzy się jednak tylko liczbą i bogactwem, ale jego spójnością i jednością, a wy dezorganizujecie tę siłę. Jeśli chcemy Polski, jeśli chcemy zwycięstwa, musimy iść w zwartym szeregu i zwalczać stronnictwa, partye czy związki, które przeszkadzają nam w podjętej pracy. Dowiedziałem się, że przygotowujecie nowy strejk kolejowy. Mam nadzieję, że funkcyonaryusze kolejowi w poczuciu swego obowiązku odmówią waszemu żądaniu, ale już sam wasz pomysł świadczy o waszej obojętności i niechęci do kraju. Taki strejk przyniesie nieobliczalne szkody nie rządowi, lecz obywatelom państwa. Zastanówcie się!

— Już zastanowiliśmy się — uśmiechnął się Porwa — i z naszej strony ten strejk podtrzymamy. I znów przypomnę panom, że tylko dzięki strejkowi mamy na linii warszawsko-wiedeńskiej język polski. Panowie albo nie rozumiecie, albo nie chcecie rozumieć, jak straszną i skuteczną bronią jest strejk.

— Obosieczną — uśmiechnął się ironicznie Szawelski — i setki niewinnych ginie, a rząd traci chwilowo dochody, które my musimy zapłacić...

— Gdy idzie o przeprowadzenie idei wolności całego kraju, jednostki się nie liczą – rzekł Bal — i wy niegdyś, idąc między chłopów, ginęliście i czy żałowaliście swych ofiar?

— Nie żałowaliśmy, bo cel nasz był jasny i wyraźny, szliśmy wzmacniać siły narodu, a nie niszczyć — zawołał Brejkowski.

— A co do gróźb zwalczania nas — mówił Porwa spokojnie — tych się nie boimy; walczymy z rządem, a złączycie się ze rządem, więc i was będziemy zwalczali... I dopiero gdy pozyskamy wolność, równość i niepodległość, nasza rola się skończy i kto wie, czy wspólnie nie będziemy pracowali.

— Nie z wami — mruknął Brejkowski.

— Zatem panowie nie chcecie odstąpić od waszej zgubnej taktyki?... Otóż stawiam jasno moją propozycyę: połączcie się z nami do wspólnej walki z biurokratycznym rządem, będziemy ją prowadzili systematycznie w drodze legalnej, bez żadnych ustępstw z naszej strony. Będzie to długa i ciężka praca, wszystko musimy wywalczać stopniowo, bez nagłych przewrotów społecznych i kataklizmów dziejowych. W sprawach krajowych będziecie mieli głos na równi z innymi, a kwestyę robotników uwzględnimy jak najszerzej. To nie żadna kapitulacya z waszej strony, lecz połączenie się równych z równymi. Czy zgoda?

— Nie panowie, na tych warunkach zgoda jest niemożliwą — rzekł Porwa wstając — różnimy się nietylko pod względem taktyki, ale i celów. Wy chcecie autonomii z zachowaniem wszystkich przeżytków cywilizacyjnych, jak szlachty, kościoła, pracodawców łaskawych, fabrykantów szlachetnych itd., a my dążymy do Polski ludowej, bez żadnych więzów klasowych, bez żadnych przywilejów i różnic. Stoimy na dwóch przeciwnych krańcach i o jakiejkolwiek zgodzie nie może być mowy.

— A więc idźmy każdy swoją drogą — powstał Szawelski i wyprostował swą wysoką postać — my musimy zwalczać was, a sam naród rozstrzygnie, czyja droga lepsza i pewniejsza — zadzwonił o rachunek.

— Kiedy walka, to walka — uśmiechnął się Bal.

— Będziemy was zwalczali w obozie waszym, robotnicy pójdą z nami — powiedział tonem pewnym siebie Szawelski.

— Zobaczymy — mruknął Bal.

— Na razie może wy zwyciężycie w kraju — rzekł Porwa — wszyscy syci staną przy was, ale przyjdzie czas...

IX.

— Ile Wandziu masz odezw? — spytał Bal, gdy wsiedli do dorożki.

— Wzięłam 100 w czterech paczkach, gdyż mówiłeś, że będziemy tylko u czterech towarzyszy...

— To dobrze... Otóż najpierw jedziemy do prywatnego mieszkania jednego z urzędników ruchu. Sama pójdziesz do niego i masz się dowiedzieć, czy towarzysze jego kółka są powiadomieni o strejku i co myślą o nim; jakie żądania chcą stawiać; kiedy się zbiorą na naradę i gdzie? Oto twoje zadanie na razie, a gdy zażąda, dasz mu 25 odezw.

— Jakto? Ty nie będziesz ze mną?—zdziwiła się z pewnem zaniepokojeniem.

— Cóż mam z nim do mówienia, gdy sama spełnisz to, czego żądam — zaśmiał się.

— Sądziłam, że ty przy mnie będziesz z nim mówił, a do innych pójdę sama.

— Odzwyczaj się od nianiek i bon, ich opieka szkodzi samodzielności. Radź sobie sama — i zwróciwszy się do dorożkarza, zawołał — stańcie!...

— Już? — zawołała Wanda.

Wskazał jej dom, podał numer mieszkania, nazwisko i rzekł do odchodzącej:

— Zaczekam na ciebie.

Po schodach krętych, kamiennych, weszła Wanda na trzecie piętro i sprawdziwszy numer mieszkania i nazwisko, zadzwoniła.

— Wejdź! Drzwi otwarte!

Wanda nacisnęła klamkę i zobaczyła młodego mężczyznę, który zabierał się do golenia ciemnego zarostu.

Wanda cofnęła się, przymykając drzwi lekko, a gospodarz mieszkania, który nie widział jej wchodzącej, mówił zniecierpliwiony:

— Czegóż tam stoisz? Właź! — a widząc drzwi przymknięte, podszedł, otworzył szeroko i rzekł,

zobaczywszy Wandę — ach, przepraszam panią — cofnął się szybko i ubrawszy się w surdut, znów otworzył drzwi — proszę pani... czem mogę służyć?

Wanda weszła z pewnem ociąganiem się, zarumieniona, postanowiła jednak być śmiałą i zaczęła z pewną przesadną odwagą:

— Przyszłam do was, jako do towarzysza...

— A!... siadajcie i darujcie kawalerski nieporządek — zrzucił z krzesła ubranie mundurowe na łóżko i podsunął jej krzesło — o co idzie?

— W sprawie strejku — mówiła siadając — czy wasi są powiadomieni?

— Wczoraj było posiedzenie kółka, strejkujemy w zasadzie, ale jesteśmy bezsilni, gdyby niższa służba pełniła swe obowiązki. Nie wiem, jak stoi sprawa z nimi?

Wanda namyślała się chwilę; jeśli powie, że nie wie, może go zniechęcić i nagle przypomniała sobie słowa Igielskiego na posiedzeniu:

— W służbie niższej mamy uświadomionych towarzyszy, sami agitują, zdaje się, że co do nich, obawy są zbyteczne.

— Przynosicie nam dobre wiadomości — uśmiechnął się — zaraz uwiadomię naszych, to podnieci ich do pracy.

— A kiedy zamyślacie zgromadzić ich, bo czas nagli.

— Kiedy?... pozwólcie, że się obliczę... zatem jutro o szóstej wieczorem... czy i wy też będziecie?

— O ile mi czas pozwoli — odpowiedziała wymijająco, nie wiedząc, czy na innem zgromadzeniu nie będzie potrzebniejszą.

— Żądają bibuły, nie macie?

— Czy wystarczy wam dwadzieścia pięć odezw?

— Za mało... co najmniej 100.

— Na razie dam wam tyle, ile mogę, ale wręczę wam później.

— Jutro na kółku... albo przynieście do biura telegraficznego, dworzec główny, pytajcie omnie.

— A kółko gdzie? u kogo?

Podał jej dokładny adres; ona zamierzała już wyjść, gdy wspomniała o żądaniach.

— Towarzyszu, czy wczoraj była mowa o waszych żądaniach, stawianych dyrekcyi?... rządowi?...

— Tylko ogólnikowo... żądamy polskiego języka w służbie, usunięcia przywilejów dla Rosyan, pewnych zmian w dyrekcyi... ale uchwały zapadną na ogólnem zgromadzeniu, przy wyborach delegatów...

— Tak... to słusznie... oto odezwy — wstała z krzesła.

— Zaraz towarzyszko... jak stoi sprawa z warszawsko-wiedeńską?

— Idą solidarnie... tamci mają już praktykę - uśmiechnęła się.

— Nic dziwnego, linia sama w sobie — mówił prędko — i my potrafilibyśmy, ale nas Polaków jest stosunkowo mało na stanowiskach, a w danym razie zastąpią nas z innych linii.



Wanda nacisnęła klamkę i zobaczyła młodego człowieka, który zabierał się do golenia.

— Tak... tak... wy macie trudniejsze warunki... A co najbardziej dokucza pracownikom tej kolei?

— Złe obchodzenie się i samowola.

— Po strejku to się zmieni — pocieszała go Wanda — bo cały system rządowy będzie inny.

— Czy tylko rosyjskie koleje dotrzymają?... Wyrzuconoby nas Polaków bez litości ze służby...

— Oni przecież zaczynają.

— Tak, to prawda... ale czy zaczną?

— Najpewniej — i pożegnawszy się, wyszła.

Bal idąc z nią w kierunku dworca, wysłuchał szczegółowego opowiadania i powiedział zadowolony:

— Jak na początek, kardzo dobrze... ale to był inteligent... zobaczymy. jak sobie poradzisz z innymi. On nie żądał faktów, szczegółów, pewności...

— Gdzież teraz mam iść?

— Do zwrotniczego — wymienił imię i nazwisko — pokażę ci mieszkanie, ale tu uważaj, czy nie śledzi cię kto.

— A jak poznam szpiega?

— Zwykle idzie za tobą, nie patrząc na ciebie, mina naiwna, roztargniona, czasem chce ci się przysłużyć wskazaniem drogi lub sam pyta, aby ci się lepiej przyjrzeć. Ty zawsze udaj, że go nie spostrzegasz i kołuj.

— Rozumiem — i pomyślała, że jednak byłoby to ciekawe, być śledzoną przez jakiegoś szpiega.

Dochodzili do dworca, a on wskazując jej na wielki, dwupiętrowy dom, objaśniał:

— Tam mieszka... i jeszcze jedno: on ma zamężną córkę w mieście, mówię ci to na wszelki wypadek.

Wskazane mieszkanie zastała zamknięte, lecz ze sąsiednich drzwi wychyliła się głowa niemłodej kobiety.

— Czego pani chce?

— Mam interes — wymieniła nazwisko.

— On na służbie a ona w mieście. Czy to pilny interes?

— Dosyć... i szłam tak daleko — westchnęła.

— Cóż ja pani poradzę? — wyszła na korytarz i przyjrzawszy się Wandzie dodała po chwili: — chyba idź pani na plant, on jest przy drugiej budce.

— Dziękuję pani — i zwróciła się ku schodom.

— A trafi to pani?

— Spróbuję... nie wiem.

— Zaczekajże pani — i zawołała przez otwarte drzwi swego mieszkania — Jędrek! Jędrek! Weź czapkę i chodź tutaj!

Po chwili wszedł na korytarz ośmioletni chłopak rumiany, uśmiechnięty, a na wiadomość, że ma zaprowadzić Wandę do zwrotniczego, zabłysły mu niebieskie oczy.

— A trafisz? — spytała matka.

— Cobym nie miał trafić, czy mi to pierwszyzna? Chodźmy!

Prowadził ją drogą dalszą, ku kolei obwodowej.

— Jędrek, a chodzisz ty do szkoły?

— Alboż mi nie czas? — zaśmiał się — chodzę do szkoły, ale do naszej, polskiej.

— I dobrze się uczysz? Łatwo ci idzie?

— Ee, co mi to za historye? Abecadło i tyle... A ta nasza profesorka nudna, bo nudna i wciąż narzeka.

— To ci źle w szkole?

— A zaraz źle — mówił z powagą starszych — źle czy dobrze, człowiek powinien się uczyć, bo nie będzie miał kawałka chleba.

— Czemże ty chcesz zostać?

— Ja? — chwilę się namyślał — będę maszynistą, to dobry fach i wie pani, on może gwizdać, kiedy zechce.

— No, nie zawsze, Jędrku — uśmiechnęła się — są na to przepisy.

— Przepisy!? — zaśmiał się — a kto je pisał?!

— A gdzie zwrotniczy?

— Zaraz... tamta budka, widzi pani? Tylko ostrożnie na szynach, bo o nieszczęście nie trudno. Niech się pani mnie pilnuje.

— Dobrze Jędrku.

— A tu ostrożnie!... Wyjęli próg, ja przeskoczę, a pani niech obejdzie, bo w sukni zaplączą się nogi... Widzi go pani? tam stoi trzech... i on tam jest z nimi.

— Któryż to?

— Alboż pani go nie zna?

— Mam krótki wzrok, niedowidzę.

— Takie zdrowe oczy i nie widzą — patrzał zaciekawiony w jej oczy.

— Dziękuję ci Jędrku, sama już dojdę — i wyjmując portmonetkę, rzekła — masz na cukierki.

Zaśmiały mu się oczy, ale odsunął rękę Wandy.

— Mamusia by się gniewała... nie mogę więc brać — odwrócił się jak od pokusy i pobiegł do domu.

Wanda podeszła do trzech stojących i spytała o zwrotniczego.

— To ja — odpowiedział szpakowaty szatyn, z twarzą szczerą, łagodną — a pani czego?

Wanda spojrzała na obecnych, mówiąc po chwili namysłu:

— Przychodzę od córki pana...

— A... od Teklusi; cóż tam?

— Prosiła o sekret.

Tamci dwaj odsunęli się trochę, a zwrotniczy, nachylając się spytał:

— O co idzie, proszę pani?

— Tylko dla niepoznaki, towarzyszu, mówiłam o córce.

Spojrzał na nią badawczo, uśmiechnął się pod wąsem i mówił szeptem:

— Jaki interes, towarzyszko?

— Przyniosłam odezwy strejkowe.

— Chwalić Boga — rozjaśnił twarz, a zwróciwszy się do stojących opodal, rzekł — Michale, przypilnujcie zwrotnicy na chwilę... mam ważny interes.

Szli w kierunku dwóch budynków stacyjnych, a w drodze spytał:

— Kto dał wam mój adres?

— Komitet... Chciałabym wiedzieć, czy towarzysze wasi są powiadomieni o strejku?

— Wieść o nim rozniosła się sama, ale nie wiemy kiedy? jaka korzyść dla sprawy i czy wszystkie koleje zapewnione.

— Zaczną koleje z Moskwy idące, za sześć, siedm dni i nie podejmą ruchu, póki rząd nie zgodzi się na nasze żądania.

— Hm.. mówcie mi wyraźnie, jakież to żądania nasze?

— Poprawa bytu pracowników, usunięcie samowoli, wydalania na mocy ustawy, zmniejszenie godzin pracy i czasu służby.

— To dobre dla nas — uśmiechnął się — no, a język? W Polsce musi być polski.

— Naturalnie towarzyszu... zresztą przy wyborach delegatów ci otrzymają szczegółowe wskazówki.

— Ale... ale... w czasie wyborów wszystko musi być gotowe; toż trzeba wiedzieć, czego chcemy od naszego delegata, a dopiero wybrać takiego, co stanie skałą za nami.

— Poszczególne koła towarzyszów uradzą, czego żądać... a wy, jak myślicie?

— Zaraz wam powiem...

Weszli na mały placyk, zamknięty z dwóch stron budynkami o ścianach głuchych, z trzeciej strony stały węgle złożone w czworograny, zaś od strony, z której weszli, były wagony towarowe.

(Ciąg dalszy na t pi)

Angielscy dziennikarze w podróży.

Prasa, nazywana w przenośnem znaczeniu dziewiątem mocarstwem światowem, odgrywa niezawodnie bardzo poważną rolę w stosunkach międzynarodowych. Informacye jej są w stanie pomiędzy pojedynczymi ludami wytwarzać atmosferę pokojowego porozumienia, lub też podniecać nieraz już dawno zapomniane pretensye i zawiści rasowe. Dlatego też jest wielce pożądanem w interesie powszechnego pokoju — mogącego wyniknąć jedynie ze zbratania się wszystkich ludów cywilizowanych — aby dziennikarze jednego kraju zwiedzali inne, bo tylko na podstawie osobistego zetknięcia się i naocznego zbadania warunków, można sobie wyrobić zdanie o tem, jaki jest rzeczywisty stan rzeczy w krajach sąsiednich.

W myśl tej zasady dziennikarze angielscy w dwóch grupach wybrali się na kontynent. Jedna z tych grup postanowiła zwiedzić południowo-wschodnią Europę i zaczęła swą podróż informacyjną od Austro-Węgier. Druga zaś grupa udała się do Niemiec.

Odwiedziny tej drugiej grupy przedstawiają o tyle większy interes, ile że stosunki między cesarstwem Niemieckiem a W. Brytanią, od czasu wstąpienia na tron angielski Edwarda VII-go, należą do niezmiernie chłodnych, zdradzając czasami aż nazbyt wyraźnie antypatyę, jaką okazują sobie panujący obu tych mocarstw. Nie chodzi tu jednak o czysto osobistą sympatyę lub antypatyę monarchów, chodzi o coś więcej, a mianowicie o nieprzyjazny rozdział między narodem angielskim a niemieckim, wywołany rozmaitemi przyczynami, których powody sięgają głęboko. W pierwszym rzędzie trzeba do nich zaliczyć konkurencyę ekonomiczną, dziś bowiem przyszło już do tego, że Niemcy współzawodniczą z bardzo dobrym skutkiem z Anglikami na wielu rynkach światowych. Ich wyroby przemysłu stalowego, żelaznego i tkackiego wypierają, jako tańsze, wyroby angielskie na Wschodzie, gdzie Anglicy uważali się dotąd za wyłącznych panów sytuacyi. Dalej zaś nieustanna emulacya o wpływy w Turcyi i Persyi nie może przyczyniać się jak tylko do zaostrzenia stosunków między Londynem a Berlinem, chociaż pokrywanę jest ono ciągle płaszczykiem dyplomatycznej kurtoazyi.

Jeszcze jest jedna przyczyna, powodująca, że Anglicy i Niemcy nie mogą ze sobą sympatyzować, ani jako państwa, ani jako narody. Nikt nie zaprzeczy, że Anglia wciąż znajduje się na drodze postępu kulturalnego, że hasła prawdziwej wolności są dewizą jej rządów. Dość wspomnieć np. nadanie tak obszernej autonomii, prawie niezależności Transwaalowi i Oranii, o jakiej, dajmy na to, Polacy w Poznańskiem ani marzyć nie mogą. Humanitarne traktowanie krajowców po rozległych koloniach angielskich, jakże jaskrawy stanowi kontrast wobec barbarzyńskiego obchodzenia się Niemców z Murzynami w ich posiadłościach afrykańskich!

Dziennikarze angielscy, mający także odwiedzić Poznań, znajdą tedy niezawodnie sposobność przekonania się *de visu*, jak są tam Polacy sytuowani, jak daleko do tego Prusakom, aby mogli być uważani za naród w całem znaczeniu tego słowa cywilizowany.

Dziś podajemy dwa zdjęcia sympatycznych gości angielskich, z których jedno przedstawia ich



Angielscy dziennikarze w podróży: Dziennikarze zebrani nad brzegiem jeziora Starnberg.

grupę przed Küustlerhausem monachijskim, a drugie w chwili, gdy zebrali się w czasie wycieczki nad jeziorem Starnberg, słynnem z tragicznej i tajemniczej śmierci króla bawarskiego Ludwika II-go, której nieobcą była ręka krzyżackich potomków.



Angielscy dziennikarze w podróży: Dziennikarze przed Künstlerhausem w Monachium.

Droga pamiątka.

Bez mała przed stu laty zaświtała zorza jakiejś lepszej doli dla nieszczęśliwej Polski. Było to mianowicie w r. 1809-ym, gdy ks. Józef Poniatowski na czele wojsk niedawno utworzonego W. Księstwa Warszawskiego, zdołał nietylko oprzeć się przeważającym znacznie siłom austryackim, dowodzonym przez arcyksięcia Ferdynanda, ale nawet zdobył kawał kraju polskiego, który po ostatnim rozbiorze włączonym został do monarchii Habsburgów.

I tym razem jednak nadzieje okazały się zwodniczemi. Napoleon, zawarłszy pokój z Austryą, wojskom polskim kazał opuścić Galicyę, tak że wzamian za swe wysiłki i za bohaterskie walki swych wojsk, które były już dotarły do Lwowa, W. Ks. Warszawskie otrzymało raptem Kraków z cząstką Galicyi zachodniej, oraz departamenty: Radomski, Lubelski i Siedlecki. Cesarz Francuzów grał ciągle dwulicową rolę wobec Polaków, ci jednak na tem się nie poznali, żywiąc płonną nadzieję, iż pomoże im do odbudowania Ojczyzny, którą w tak lekkomyślny sposób stracili. Z tych jednak walk, toczonych wśród tak długiego czasu, pozostały Polakom niezrównane wspomnienia, owiane czarem poezyi, czerpiącej swe źródło w prawdziwie patryotycznym i pełnym poświęcenia nastroju społeczeństwa polskiego, tak dobrze za czasów napoleońskich, jak i później.

Wojna z 1809 roku, aczkolwiek zakończona zwycięsko dla Polaków, wymagała z ich strony stosunkowo olbrzymich ofiar. Jedną z pamiątek tych ofiar, składanych tak chętnie na ołtarzu Ojczyzny, podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma. Jestto piękny obelisk, wznoszący się w Dąbrowie wrzawskiej (powiat tarnobrzeski) na wspólnej mogile Polaków, poległych tam dnia 13 czerwca 1809 roku w bitwie z wojskami austryackiemi. Wzniósł ją lat temu 28 ś. p. br. Kalikst Horoch, oficer wojsk polskich z 1831 r. Obelisk ozdobiony jest odpowiedniemi emblematami i napisami, z których jeden opiewa:

Jak długo w sercach naszych krew
Cnych przodków płynie,
Tak długo tych walecznych pamięć
Nie zaginie!

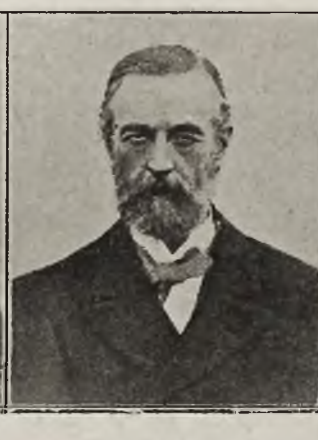


Droga pamiątka: Pomnik na mogile żołnierzy polskich, poległych w bitwie z Austryakami 13 czerwca 1809 r.

Druga konferencya pokojowa w Hadze.


Br. d'Eston relles de Constant (Francya).


L. Renault (Francya).


Lord Reay (Anglia).


Nelidow (Rosya).

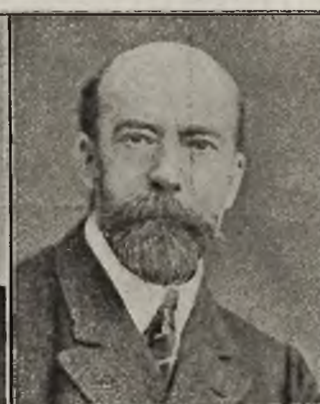

Hr. Tornielli (Włochy).

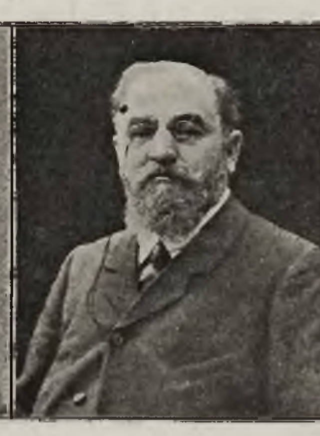

Fusinato (Włochy).


Dr. Zorn (Niemcy).


Prof. Martens (Rosya).


Prof. Owczinnikow (Rosya).


Kontradm. Siegel (Niemcy).


Leon Bourgeois (Francya).


Pompili (Włochy).


Dr. Kriege (Niemcy).


Gen. major von Gündell (Niemcy).


E. Satow (Anglia).


H. Howard (Anglia).


Br. Marschall v. Bieberstein (Niemcy).


E. Fry (Anglia).


Fot. M. Münz we Lwowie.
Usuwanie się kopca we Lwowie: Widok ogólny kopca Unii Lubelskiej.

Bitwa w tem miejscu zakończyła się wprawdzie porażką Polaków, którzy w liczbie 8.000 walczyli przeciw 30.000 Austryaków, jednakże ks. Poniatowski utrzymał się na pozycyi aż do wieczora. W nocy dopiero przeszedł San i stanął kwaterą w Pniowie, gdzie dotąd istnieje pawilon dworski, w którym zamieszkał. Połączywszy się następnie z generałem Sokolnickim, rozpoczął akcyę zaczepną i ścigał tak długo Austryaków, dopóki nie wyparł ich z Galicyi i nie zajął Krakowa.

Druga konferencya pokojowa w Hadze.

Dnia 15-go bm. zebrała się w stolicy Holandyi, druga z rzędu, międzynarodowa konferencya pokojowa, zwołana podobnie, jak i pierwsza w 1899 r., z inicyatywy cesarza Mikołaja II-go. Przytem jednak zaznaczyć trzeba, że właściwym inicyatorem obecnej konferencyi był prezydent Roosevelt, który tylko z kurtoazyi odstąpił rządowi rosyjskiemu formalność zwołania.

Jeżeli już przed pierwszą konferencyą najwięksi nawet, lecz trzeźwo patrzący przyjaciele powszechnego pokoju mieli wielkie wątpliwości co do jej praktycznych wyników, mogących cały świat cywilizowany obowiązywać — to dziś wątpliwości te musiały zwiększyć się w dwójnasób. Pomyślmy tylko, jak dziwnem zrządzeniem losu stało się, że po pierwszej konferencyi wybuchły trzy krwawe wojny: Anglików z Burami, powstanie bokserów w Chinach, a wreszcie jedna z największych wojen znanych w historyi — wojna Rosyi z Japonią.

Niema oczywiście powodu przewidywać, że po tej konferencyi, która właśnie zaczęła obrady, miałoby przyjść także do równie strasznych starć, jak

po jej poprzedniczce. W każdym razie jednak myśl zaprowadzenia międzynarodowych trybunałów rozjemczych, które rozstrzygałyby wszystkie, bez wyjątku, zatargi między państwami całego świata, oraz myśl przeprowadzenia rzetelnego ograniczenia zbrojeń — są jeszcze sprawami bardzo dalekiej przyszłości. Nie leżą te sprawy w dziedzinie utopii, ale ileż to rzeczy musiałoby zmienić się na świecie, aby mogły przyoblec się one w szatę rzeczywistości, ileż to tradycyj, przesądów itd. musiałoby runąć.

Gdy przy końcu 1898 r. Rosya wezwała swych przedstawicieli za granicą, by porozumieli się z odnośnymi rządami w kwestyi mającej zebrać się konferencyi, to jako dyrektywę dała im projekt ograniczeuia zbrojeń na lądzie i na morzu. I rzeczywiście projekt ten przedstawiciele jej w Hadze gorąco, chociaż bez skutku, popierali.

Teraz zaś nastąpiła zmiana frontu ze strony gabinetu petersburskiego. Wzywając państwa do udziału w konferencyi, pominął on zupełnie sprawę rozbrojenia. Podniosła go natomiast Anglia i znalazła poparcie Stanów Zjednoczonych oraz Hiszpanii. Natomiast kanclerz, ks. Bülow, zupełnie jasno i stanowczo oświadczył w parlamencie Rzeszy, że Niemcy ani myślą wdawać się w dyskusyę nad tą sprawą, nie spodziewając się z niej wcale praktycznych rezultatów. Za przykładem Niemiec pójdą niezawodnie także Austro-Węgry. Przeciwnie Włochy i Japonia staną napewne po stronie W. Brytanii.

Z tego się pokazuje, że nie może być mowy o zgodzie między 47 państwami, biorącemi udział w obecnej konferencyi. Regulamin zaś przyjęty dla pierwszej konferencyi wymaga, aby wszelkie postanowienia uchwalane były jednogłośne. Opór więc przedstawicieli dwóch, trzech państw, udaremnić może najpożyteczniejsze w zasadzie uchwały.

Jedno tylko pole konkretnej pracy otwiera się przed drugą konferencyą, a mianowicie uzupełnienie uchwał pierwszej konferencyi. Do nich należy między innemi utworzenie tzw. „komisyi ankietowej“, która oddała znaczne usługi, przy załatwieniu zajścia między Anglią a Rosyą, z powodu ostrzeliwania rybackiej flotylli pod Hull przez eskadrę admirała Rożdiestwienskiego. Oprócz tego dziełem pierwszej konferencyi jest konwencya, rozszerzająca „Konwencyę genewską“, tyczącą się Czerwonego krzyża. Natomiast utworzony przez tęż konferencyę stały międzynarodowy sąd rozjemczy — dotąd tak dobrze, jak nic nie zdziałał. Być może więc, że druga konferencya pokojowa postara się w jakiś sposób stworzyć dlań podstawy szerszej kompetencyi, uznanej przez wszystkich interesowanych. Najprawdopodobniej jednym z głównych przedmiotów obrad drugiej konferencyi będzie wiele spraw, odnoszących się do wojen morskich, a mających na celu nadanie im możliwie humanitarnego charakteru.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg portretów przedstawicieli państw, najbardziej interesowanych co do przebiegu i wyniku obrad obecnej konferencyi haskiej.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Usuwanie się Kopca we Lwowie: Widok zawalonej części Kopca od strony Wysokiego Zamku.

Usuwanie się Kopca we Lwowie.

W trzechsetną rocznicę wiekopomnej Unii Lubelskiej, owej Unii, którą trzy narody: Polska, Litwa i Ruś — połączyły się na wieki na wspólną dolę i niedolę, powstała we Lwowie z inicyatywy wielkiego męża stanu, Franciszka Smolki, myśl uczczenia tej wielkiej chwili dziejowej usypaniem kopca na Górze zamkowej.

W dniu 11 sierpnia 1869 r. odbyło się uroczyste położenie kamienia węgielnego pod przyszłą budowę, a równocześnie zaczęło się sypanie kopca. Początkowo Lwowianie zajmowali się żywo budową wielkiego tego dzieła, od r. 1871 jednak rósł kopiec tylko dzięki żelaznej wytrwałości i bezgranicznej ofiarności Smolki. Budowa ciągnęła się bardzo długo, a koszt jej wynosił przeszło 80.000 złr., z czego publiczne składki pokryły zaledwie 13.000 złr., resztę zaś wydał z własnych funduszów Smolka.

I wreszcie po wielu latach pracy ciężkiej i usiłowań, stanął wspaniały Kopiec, zdala od Lwowa widoczny, stanął jako pamiątka Unii lubelskiej, jako dokument zgody między bratnimi narodami.

Boleśnie więc dotknęła ogół polski wieść, która w ubiegłym tygodniu rozeszła się nietylko po Lwowie, ale po całym kraju, że ta pamiątkowa ozdoba stolicy w groźnem znachodzi się niebezpieczeństwie. Kopiec się wali...

Patrząc nań zdala, nie widzi się żadnej zmiany w kształtach, a tylko od strony północnej przerzynają go trzy szerokie białe smugi, miejsca, w których pękła zielenią pokryta powłoka i wyjrzał szary piasek. Dokładnie obejrzeć można ślady klęski dopiero z głównej alei Wysokiego Zamku. Cały stok góry jest w tem miejscu zupełnie ogołocony z drzew, wskutek czego otwiera się z tego miejsca, jakby siekierą w drzewiastej ścianie wyrąbany widok na zakryty dotąd Kopiec. A na całej przestrzeni leżą olbrzymie, stare brzozy i świerki, zmieszane i zmierzwione, pogruchotane i poprzesypywane ziemią i piaskiem. Przykry nad wyraz i smutny widok!...

Przyczyną, która wywołała tę straszną katastrofę, były — zdaje się — ulewne deszcze przez całą wiosnę. Widocznie podmuliły one podstawę Kopca, a nadmierny ciężar piasku i kamieni, nie mając dość silnej podstawy, runął szeroką, niszczącą lawiną w dół.

Zdaniem techników, szkoda wyrządzona tą katastrofą, choć niewątpliwie bardzo znaczna, nie jest nie do powetowania. Aby zaś zapobiedz dalszemu usuwaniu się ziemi z Kopca i aby mu zapewnić trwałą moc na długi szereg lat następnych, podjęte będą w najbliższym czasie staraniem gminy m. Lwowa prace, w myśl uwag i planów, które opracuje komisya, złożona z najwybitniejszych inżynierów i techników.

Jest więc nadzieja, że ta prześliczna pamiątka i ozdoba Lwowa nie zginie marnie, lecz po długie wieki stać będzie na straży polskości miasta.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia, przedstawiające ogólny widok kopca Unii Lubelskiej, dalej widok zawalonej części od strony Wysokiego Zamku oraz fragment zasypanego stoku góry.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Usuwanie się Kopca we Lwowie: Fragment zasypanego stoku góry.

Kurs malarzy pokojowych.

Walka o byt, o kawałek chleba, staje się z każdym rokiem trudniejszą i cięższą, bo coraz gorsze i coraz cięższe są warunki życiowe. Szczególnie rękodzieła nasze, zmagając się z konkurencyą zagraniczną, z każdym rokiem w bardziej opłakane



Kurs malarzy pokojowych: Grupa uczniów kursu malarskiego

popadają stosunki. Jedyną drogą, która może dopomódz do podźwignięcia się rękodziełom naszym, jest podniesienie poziomu inteligencyi i zawodowego wykształcenia wśród rękodzielników. To też wielce doniosłe znaczenie mają wszystkie szkoły zawodowe, kursy uzupełniające itd., które dają możność terminatorom rękodzielniczym uzupełnienia swych wiadomości i rozszerzenia horyzontu wiedzy.

Rzeczą zaś jest majstrów naszych, by oceniając wartość i doniosłość tego rodzaju kursów, nietylko nie utrudniali zajętym u siebie terminatorom uczęszczanie na nie, ale im do tego pomagali, aby ich dobrem i ciepłem słowem do pracy nad sobą, nad swem wykształceniem zachęcali, przez co oddadzą przysługę sprawie rękodzieł w kraju.

Obok innych, na wzmiankę zasługuje odbyty niedawno w Krakowie, trzeci z rzędu, kurs uzupełniający dla terminatorów malarskich. Na kursach tych uczniowie przerabiają ćwiczenia praktyczne, a więc malują i rysują według wzorów i gipsowych odlewów, uczą się harmonijnie zestawiać kolory itd nadto nabierają rozmaitych teoretycznych wiadomości. Pożytek więc z takiego kursu jest oczywisty.

Koszty, połączone z urządzeniem wspomnianych kursów, pokrywał częścią rząd, a częścią cech malarzy krakowskich, który opiekuje się nimi bardzo gorliwie. Cech też ustanowił z własnych funduszów nagrody dla uczniów za pilność.

* * *

Grupę uczniów ostatniego kursu, wraz ze starszym cechu malarzy p. Edwardem Czernichowskim, nauczycielem p. Józefem Mikulskim i jego pomocnikiem p. Wiesławem Zarzyckim w pośrodku, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Echa wyborów w Stanisławowie: Komitet ściślejszy, popierający kandydaturę p. Stwiertni, który zainicyował po wyborach założenie towarzystwa demokratycznego.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

11 (Ciąg dalszy).

Wesołość spotęgowała się jeszcze. Goście śmiejąc się głośno trzymali się za boki.

— Skądże się wziął ten ptaszek?

Kilku oberwańców, trzymając napełnione szklanki w ręce, przybliżyło się do ajenta, chcąc obejrzeć ten dziwoląg z bliska. Jaminot udając coraz bardziej obrażonego i dotkniętego, rozmyślnie nie zwracał na nich uwagi.

Zwrócił się wprost do gospodarza.

— Co jest? Czego się tak dziwicie? Czy ja was znam?

— No to się widzi!

Na te słowa Jaminot zadrżał radośnie.

— Przypuśćmy, że się pomyliłem. Owa! Wielkie rzeczy! Czy ja na tem co tracę? Gwizdam na to. Już dosyć tego! A choćby! Tak, jestem w kłopocie — dodał zniżając głos — o cóż wam chodzi? Wlazłem w niepotrzebny kawałek. I zamiast mi tu blagować, lepiejbyś ojciec pomógł mi się wygrzebać. Mógłbyś mi jako miejscowy wyszukać jakiego kapitana na odjezdnem, z którymbym mógł odpłynąć, gdzie pieprz rośnie. Byłbym na jego usługi.

— O to nie trudno.

— Bez naciągania...

— Gdzieżby znowu! Nie obiecuję napewno, ale się poszuka.

— Oh, toby z was był zuch porządny! Od rana już łażę w porcie, ale boję się, żeby mnie nie przyłapali! Oh, gdybym tak miał szczęście spotkać się...

— Z kim?

— Nie mogę powiedzieć. Zabronił mi wspominać... to święte! A może być, że się w adresie pomyliłem; ale nie. Kazał mi się udać do pańskiego zakładu, jakbym czego potrzebował. Dlatego też tu wszedłem, ryzykując ostatnie grosze, na los szczęścia! Podobno on tu stałym gościem. Do wszystkich świętych, ale mnie też z nóg ścięło! Spać mi się chce. Pomyślcie: całą noc na nogach. Tak, gdyby on chociaż się domyślił, że go szukam i wstąpił tu na kieliszek... Co jemu w głowie? Nie mnie brać na kawał! Czy się to tak postępuje z towarzyszem? Gdybym się tak nie obawiał i wiedział, gdzie się głupiec gnieździ, tobym poszedł go wietrzyć...

— Ale kogo?

— Kiedy mi nie wolno mówić! Widać zależy mu na tem.

— Powiedzcie choć, jak wygląda. Może go tu znamy, to się wam pomoże go odszukać.

— Oh, nic szczególnego; taki sam człowiek, jak drugi. Co chcecie? tęgi chłop! Tak koło trzydziestu lat, szatyn, wąsy duże. Ah, do dyabła, tak bym się zdrzemnął!... A ten, wiecie, mógłby uchodzić za ładnego chłopca, żeby nie blizna, która go szpeci.

— Blizna?

— Tak, pod prawem okiem. Ale co wam po tem. I tak go nie poznacie.

— A jakże... przecież to „Gruby Ludwik“ — zawołał szynkarz.

Wszyscy zaciekawieni skupili się koło Jaminota.

— I mybyśmy go nie znali! Towarzysza, przyjaciela! Pierwszy do roboty! Pierwszy do dziewcząt!

— No tak. To Gruby Ludwik. Ale moi drodzy — to nie ja wydałem sekret! — zawołał uszczęśliwiony inspektor, który dowiedziawszy się już o tem, co mu było potrzebne, teraz pragnął być jak najdalej od swoich przygodnych towarzyszów.

Teraz trzeba zmykać, co sił! A nużby tak Gruby Ludwik wpadł teraz niespodzianie? Ładne rzeczy by się działy w tej mordowni! Jaminot był trochę zdziwiony gadatliwością i brakiem podejrzenia u tych ludzi, którzy nie wyglądali wcale na baranków. Co prawda, ruchy Jaminota, jego gburowate obejście i wygląd, mogły tylko w tych rzezimieszkach wzbudzić zaufanie. Nie wyglądał zupełnie na szpiega, a tak się umiejętnie trzymał, że zasypywali go pytaniami, na które ledwie że raczył odpowiadać.

A może dla tych ludzi, tego zbiornika łajdaków wszelkiego rodzaju, zdolnych do każdego czynu, tej kompanii dobranej z wyszukanym artyzmem, powołanie się na tęgiego ptaszka, jakim musiał być zapewne Gruby Ludwik, było legitymacyą, paszportem, rozwiązującym języki?

Co bądź było, należało prowadzić grę dalej bardzo ostrożnie i starać się wymknąć, tembardziej że Jaminot zauważył pomiędzy rzezimieszkami dzielnego zucha, wspaniale rozwiniętę bydlę, o rudych włosach, spadających mu aż na oczy, o olbrzymich łapach, który nie spuszczał go z oka i w którego zwierzęcym wyrazie twarzy ajent nie dojrzał wcale sympatyi dla siebie.

Jaminot był wysoki i zgrabny, wyćwiczony i wygimnastykowany a przytem nadzwyczajnie dzielny; ale bójka z siedmioma czy ośmioma zbójami nie uśmiechała mu się zupełnie i pomijając już osobiste niebezpieczeństwo, mogła mu popsuć sprawę. Przytem Jaminot był tego dnia niezwykle wyczerpany i zmęczony.

— Jeżeli czekacie na Grubego Ludwika — odezwał się gospodarz nory — to możecie długo czekać.

— Dlaczego?

— Bo nie widzieliśmy go tutaj oddawna. Musi gdzieś być na robocie.

— Odkąd to? Ej, a co mnie to zresztą obchodzi, to nie mój interes. Wcale mi na tem nie zależy, czy to od ośmiu, czy piętnastu dni... Skoro go niema...

— Przeszło piętnaście dni. Nie pokazał się tu od połowy stycznia mniej więcej...

— Oh, to mnie nie wzrusza...

Na to wmięszał się rudy olbrzym i głosem ochrypniętym, zdartym przez alkohol, spytał:

— Hę? To ty do spółki pracujesz z Grubym Ludwikiem?

Łapę wielką, jak ćwiartka baraniny, położył ciężko na stole, a w drugiej trzymał pełny kieliszek wódki.

— W spółce? Tak i nie...

— Hę? Co ty gadasz?

— Wspólnik nie pracuje na swoją rękę w tajemnicy, a on się wcale nie ogląda na mnie. Nawet nie wiem, gdzie jest jego nora... Ale jak ma jaką byczą facetkę, to się z nią łajdak pokazuje! A jakże!... Paraduje tak, żeby go każdy widział...

— Facetka! On ich ma na tuziny!

— O której mówicie? — zapytał szynkarz.

— Ej, to jego rzecz. Co wam do niej? A zresztą, to nie nowina.

Czyby to nie była... bo on mi coś wspominał o tem. On ze mną się nie krępuje... Brunetka, wysoko urodzona panienka — dodał szeptem.

— Zdaje się... Ja jej tam do niczego nie potrzebuję... Niech ją sobie ma... Zaledwie ją raz widziałem. Jego postępowanie wcale mi się nie podoba...

Rudy przerwał Jaminotowi:

— A więc, jeżeli nie jesteś wspólnikiem, to co jesteś? — zapytał.

— Jesteśmy towarzysze, to dosyć... A co do tego, to bez niepotrzebnej ciekawości... szlachetność i koleżeństwo obowiązuje... Ile razy pracowaliśmy razem, sprawa okazywała się pewną, jak złoto, każdy korzystał... Tylko ostatni raz wdepnął paskudnie. Ja się wykaraskałem i wtedy to wspomniał mi o waszym lokalu. Ale co tu gadać naprożno... nic mi to nie przyniesie... ja mam coś lepszego na głowie... chcę się zabrać z jakim okrętem... Ziemia staje się dla mnie nieprzyjemna i nie bardzo bezpieczna!

— Cierpliwości, nie pali się! — odrzekł szynkarz. — Dziś, zdaje się, niema odjazdu... mam na myśli takiego, jakiego wam potrzeba. A jeszcze muszę natrafić na jakiego znajomego. Ale liczcie na mnie... Ja o tem pomyślę.

— Dziękuję, odpłacę się kiedyś... Ale nie mogę czegoś usiedzieć na miejscu. Zagrzałem się w porządku i teraz ciągnie mnie na świat. Phi! i cóż ja ryzykuję? Już mi to szelmowskie życie obrzydło! Pójdę, może mi się uda gdzieś samemu wkręcić!...

Chciano go zatrzymać, ale się uparł. Nie przyjął nawet „kolejki“, tłómacząc się, że nie może się zrewanżować... Udawał ciągle podejrzliwego. Ktoś podał myśl, żeby go zapoznać z Hortensyą. Dzielna kobieta, właścicielka zakładu, którego dostarczycielem był właśnie Gruby Ludwik. Onaby go mogła ukryć długi czas u siebie, póki się coś nie znajdzie stosownego. Nie chciał o niczem słyszeć, ale zapamiętał sobie w duchu ten ważny szczegół. Obiecał powrócić wieczorem i dać znać, jeżeliby mu się udało, chybaby zaszło jakie nieszczęście.

Nareszcie wydostał się na ulicę. Zauważył, że krok w krok za nim, ale w pewnej odległości, szedł gruby olbrzym.

Jaminot był sprytny. Z łatwością więc zgubił się w tłumie i stracił z oczu śledzącego go włóczęgę. Odetchnął teraz swobodnie. Wyrwał się szczęśliwie z tej podejrzanej szynkowni, do której lada chwila mógł wpaść Gruby Ludwik. Przepadł gdzieś to prawda, ale mógł powrócić.

Jaminota niepokoiła jedna rzecz: by jakoś wytłómaczyć i upozorować stosunki, łączące go z Grubym Ludwikiem, wspomniał, że „pracowali razem“. Ale jakiego rodzaju była ta praca? Napróżnoby się tłómaczył dyskrecyą i solidarnością, gdyby tak ta zacna paczka była wymagała bliższych objaśnień. Jakież to miały być sprawy łączące ich? Oszustwa? kradzieże? szantaże? Nie ulegało wątpliwości, że Gruby Ludwik był dostawcą żywego towaru, sutenerem, naganiaczem. Ale czy pozostawał w związku z ową sprawą? Było to prawdopodobne, ale nie pewne.

Na szczęście nikt nie zdawał się go podejrzywać; nikt nie zapytał go o nazwisko. Może przez delikatność, aby nie zmusić go do kłamstwa. Najdziwniejsze było to, że szynkarz tak skwapliwie ofiarował mu swoje usługi. Ale zastanawiając się nad tą okolicznością, doszedł do przekonania, że była to często praktykowana życzliwość i chęć dopomożenia człowiekowi, który należał do „stowarzyszenia“.

A zresztą, gdyby tak ciągle rozbierać za i przeciw, końcaby człowiek nie doszedł. Trzeba sobie powiedzieć, że jest tak, a nie inaczej. Miał jeszcze ważniejsze rzeczy na głowie. Przedewszystkiem zdać raport i odpocząć trochę. Biedny Jaminot, nie mógł się już na nogach utrzymać ze zmęczenia!

Pan Cardec, dowiedziawszy się o rezultacie śledztwa, udał się natychmiast na policyę i opowiedział sprawę swojemu belgijskiemu koledze. Nieobecność jego trwała dość długo. Gdy powrócił do hotelu, ajent, który rzucił się na łóżko w ubraniu, przeciągał się wyspany i wypoczęty i ziewał szeroko.

Pan Cardec w krótkości opowiedział mu rezultat wizyty. O Joannie Bernay policya wiedziała bardzo mało. Mieszkała przy pewnej rodzinie w Antwerpii parę miesięcy do roku. Nie znano nazwiska człowieka, którego widywano spacerującego z ładną nauczycielką. Wiedziano tylko, że był to łajdak pierwszej wody, uprawiający pod pokrywką ajenta teatralnego handel dziewczętami. Nigdy jednak nie dał się przyłapać dla braku dowodów, jak również nie było go można aresztować, choć miano go silnie w podejrzeniu, że on to był sprawcą kilku morderstw i większych kradzieży. Miał stosunki wyrobione w sferach poważnych i wpływowych i formalnie był zawsze w zgodzie z prawem. Był to ptaszek zręczny i pewny siebie. Jednakże od pewnego czasu stracono go z oczu. Ostatni raz widziano go w Brukseli. Wszystko więc zgadzało się z opowiadaniem Kazimierza. Od tej chwili znikł z horyzontu. Prawdopodobnie musiał wyjechać za granicę, ale...

I tu szef bezpieczeństwa przerwał opowiadanie i spojrzał przenikliwie na Jaminota, który zaczął się dyskretnie uśmiechać. Po chwili Cardec mówił dalej:

— Ale od dzisiaj rana są na tropie wspólnika tego miłego ptaszka. Ciekawy dla policyi okaz, który przybył widzieć się ze swoim towarzyszem do domu bardzo podejrzanego, będącego pod dozorem. Oho, tego przyłapią w krótkim czasie i już się postarają rozwiązać mu język. No, wtedy już Gruby Ludwik nie wywikła się!... Będzie miał ładną sprawę!

— Panie szefie, ale mnie ten „wspólnik“, ten „okaz“ coś trochę jest znany, jak pan szef uważa?...

— I mnie też — zaśmiał się Cardec.

— O, do dyabła! A ja miałem się za dystyngowanego człowieka! A to łajdaki! Ręczę, że to ten plugawy szynkarz wyśpiewał wszystko. On musi być w zmowie z policyą. Domyślałem się trochę tego.

— On? Co znowu? On się niczego nie domyśla. To uczciwy przemysłowiec, uczciwy, skoro nie dał jasnego dowodu, że kwalifikuje się pod klucz. A potem widzisz, on się zna z tymi ptaszkami i trzeba go umieć uszanować, bo przydać się może. To nie on, to inny.

— Pokazano go panu?

— Postarałem się o to. Byłem bardzo zaciekawiony. To ajent olbrzymiego wzrostu, posiadający dziwną zdolność charakteryzowania się. Potrafi się tak „zrobić“, że go nikt ze stowarzyszenia nie pozna, a nawet boją się go, bo silny jak tur...

— Co? to ten rudy olbrzym? To niemożliwe! To bydlę byłoby moim kolegą? Oho! Nie można mu nic zarzucić. Ładnie pracuje!

— To napewno on, bo podobno był bardzo niezadowolony, że ten „wspólnik...“

— Panie szefie! przecież już wiadomo...

— A więc ten, który sobie z niego zadrwił, wymknął się mu z rąk. Cała ta historya jest nieprzyjemna i drażliwa. Nie mogłem przecie rozwiązać im zagadki, bo nie chcę tego, skoro postanowiliśmy prowadzić tajemne śledztwo... prywatne zupełnie. Do ciebie więc, Jaminot, należy, abyś się postarał teraz zmienić powierzchowność tak, ażeby cię nie poznano.

— Aha, mam wleść w inną skórę... natychmiast!

— Niema gwałtu! Tutaj cię szukać, zdaje się, już nie będą. A ponieważ udamy się na kolej razem w powozie...

— A więc jedziemy? To lepiej... Tutejszy klimat zaczyna mi czegoś nie służyć.

— Nie mamy w Antwerpii nic więcej do czynienia. Tutaj obiecali mi, że się zajmą ową Hortensyą i będą mnie uwiadamiali o najdrobniejszym wypadku.

— Żal mi trochę kolegi po fachu. Biedaczysko, będzie napróżno darł buty po bruku... Aha! mam sposób!

— Jaki?

— Sposób, który pomoże, a nie zaszkodzi. Wyszlę do gospodarza tego szynku kartkę pocztową (takie kartki zazwyczaj nie tylko adresaci czytają) z podziękowaniem, że jestem mu bardzo wdzięczny za jego usługi, ale już ich nie potrzebuję. To będzie trochę niejasne, nie będzie wiedział napewno, czy odpłynąłem, czy też zostałem. I tym sposobem zmylę ich...

— Phi! Jeżeli ci na tem zależy, to rób, jak uważasz. Choć przyznam ci się, że koncept wcale nie nadzwyczajny.

— Pewnie. Ale taki zwykły objaw grzeczności, przypuszczam, nie zaprowadzi nikogo na szubienicę.

Tego samego dnia Cardec i Jaminot, nie doznawszy żadnej przygody, powracali do Paryża.

ROZDZIAŁ XI.

Niepokój pana Noileau.

Wszystkie te podróże, zmęczenia i troski, nie przynosiły ostatecznie żadnego poważnego rezultatu... Ciągle jeszcze szukano w ciemnościach, a nawet brnięto w nich coraz więcej z powodu człowieka z blizną pod okiem, za którego śladem iść trzeba było, choć nie wiedziano, jaką on mógł rolę grać w owym dramacie.

Gdyby choć było można uchwycić go i przekonać się, że się było na mylnej drodze. Przynajmniej z tej strony byłby już spokój. Ale nie! Tydzień upływał za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Rozwód oskarżonego Germonpré'a był już ogłoszony, on sam zaś z dniem każdym zmieniał się do niepoznania. Oczy głęboko wpadnięte i otoczone siną obwódką błyszczały gorączkowo; twarz wychudła uwydatniała kości policzkowe. Schudł jak szkielet, wysoka jego postać zaczynała chylić się ku ziemi. Lecz prostował się siłą woli, gdy go prowadzono do gabinetu p. Noileau, lub gdy przyjmował w celi odwiedziny swego adwokata lub dyrektora więzienia. Przez te kilka miesięcy wyłysiał zupełnie. Długa, rzadka i źle utrzymana broda, nadawała twarzy ostrzejszy jeszcze i chorobliwy wyraz.

Widocznem było, że był wrażliwszej, czy też słabszej konstrukcyi, niż Berton-Morinval, o którym bezustannie pomimo woli myślał! A jednak myśl jego z dniem każdym coraz uporczywiej do niego się zwracała. A czy tu można było mówić o jakiejś analogii w położeniu?

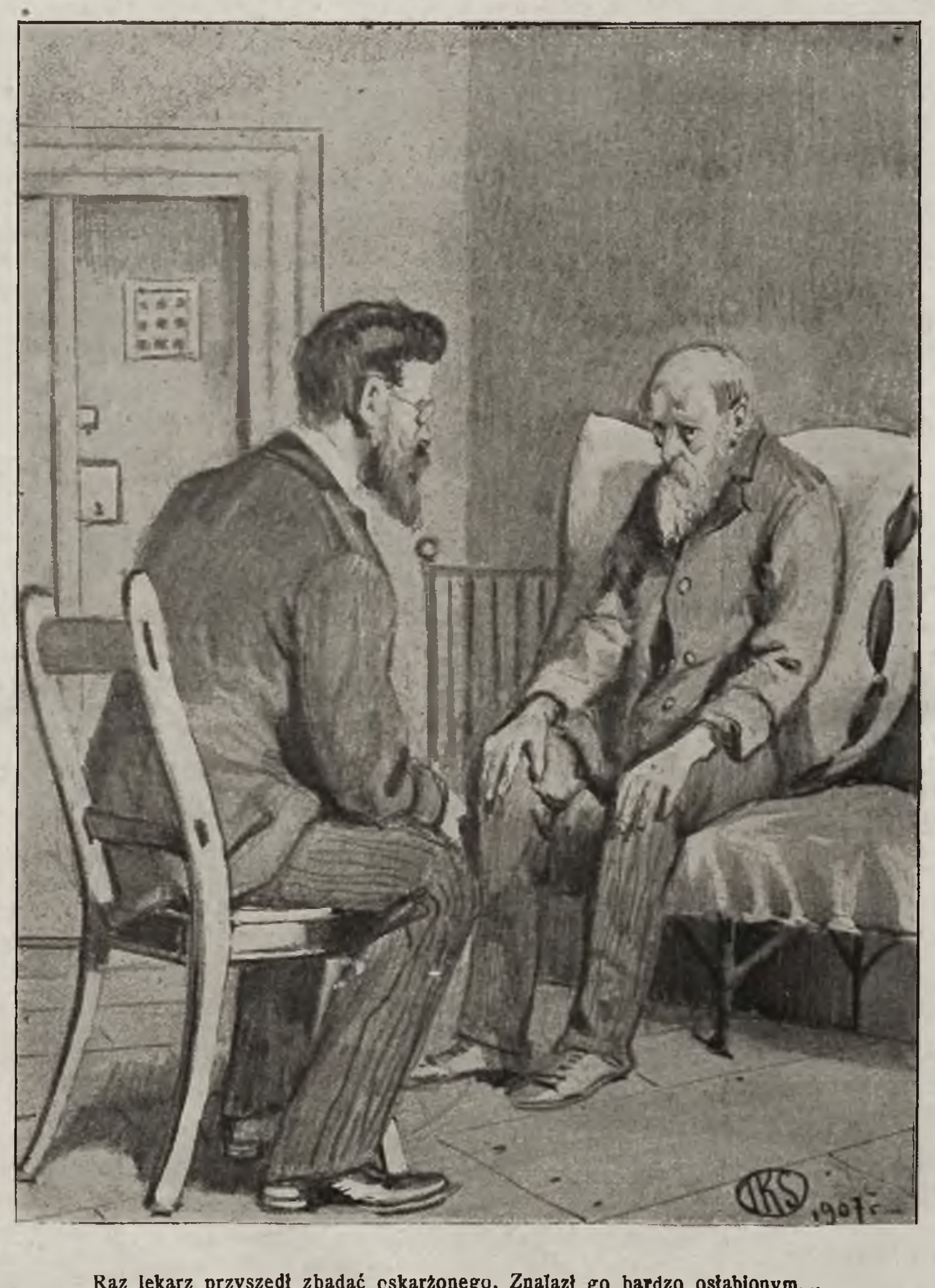
Germonpré był niewinny i uważał, że przedstawiciele sprawiedliwości lekceważą sobie jego sprawę, zadając mu rozmyślnie te katusze. Jakże można było więzić przemocą człowieka, który nic złego nie uczynił? I to na podstawie mylnych dowodów! Czemże są właściwie dowody? Dowiedzionymi faktami, nie podlegającymi rozstrząsaniu!... Jakież były te dowody, skoro nie mogły istnieć wcale?

I w ten sposób lekkomyślnie bawiono się honorem, wolnością i całą egzystencyą niewinnego człowieka. Czy nie było to potworne?

Raz lekarz przyszedł zbadać oskarżonego. Znalazł go bardzo osłabionym; ciało zamierało stopniowo pod wpływem chorobliwego umysłu. Jedyne lekarstwo, mogące przynieść ulgę, było niemożliwe do przepisania. Choremu potrzeba było dużo świeżego powietrza, swobody, wolności i zakończenia nareszcie tych wszystkich tortur moralnych, których doświadczał. A do tego było jeszcze bardzo daleko.

Był już kwiecień. Trupy zamordowanych i rozpoznanych ofiar dawno już były pod ziemią. Poza tem nic więcej nie uczyniono. Sprawiedliwość miała „ładny kawałek“ na głowie, jak się wyrażał Jaminot.

A fantastyczny Gruby Ludwik, zapewne przez nadzwyczajną skromność, nie kazał się nigdzie fotografować, to też nikt dotąd nie miał przyjemności oglądać jego sympatycznej twarzy. Gruby Ludwik stawał się więc legendową postacią. Policya belgijska donosiła, że miał on papiery swoje w porządku: nazywał się Condrain, ale bardzo często przyjaciele nazywali go Larty, a w jakiejś niejasnej sprawie występował znowu jako Corel, a ileż nazwisk jego było nieznanych! I choć było to bardzo podejrzane, to jednak nikt nie mógł mu zabronić używania pseudonimów do roli.



Raz lekarz przyszedł zbadać oskarżonego. Znalazł go bardzo osłabionym....

Jako ajent teatralny podpisywał się nazwiskiem Condrain, które miano za prawdziwe; jak dotąd, sprawował się tak ostrożnie, że policya pomimo chęci nie mogła mu nic konkretnego zarzucić. Zauważono tylko, że te kobiety, którym pośredniczył, znikały z horyzontu, o ile naturalnie były młode i ładne. Gdy mu o nich wspominano, odpowiadał obojętnie, że pewnie dostały angagement gdzieindziej – a on nie miał obowiązku strzedz ich cnoty.

Duża ilość robotnic, bon, dziewcząt z fabryk, z którymi żył krótki czas, znikały nagle, bez śladu. Zapewne dostały lepsze utrzymanie u kogo innego. Zauważano go często w towarzystwie dziewcząt publicznych ostatniego rzędu. Czy mu to było wzbronione? Zresztą trudno, nie mógł przebywać widocznie w towarzystwie markiz i hrabin!...

A co do sutenerów, z którymi go spotykano po szynkach, to przecież mógł sobie przebywać do woli z ludźmi, którzy mu nic złego nie robili. Tembardziej, że ich rozmowy dowcipne i swobodne bardzo go interesowały. Że z nimi przebywał, to jeszcze nie racya, że należał do nich. Ostatecznie był to chłopak bardzo podejrzany, ale sprytny i kuty na cztery nogi.

Z powodu znamienia na twarzy, odszukanie go zdawało się na pozór łatwem. Policya paryska jednak przeszukała na próżno hotele, szpitale, więzienia... Nigdzie Gruby Ludwik nie był znany!

Mając pewne podejrzenia, że był w stosunkach z Bélacem, poddano ściślej rewizyi domy osławionych lichwiarzy i ich wspólników.

— On się chyba nazywa Kameleon! — zawołał raz Jaminot, doprowadzony do ostateczności.

W końcu zgodzono się na jedno, że prawdopodobnie poszukiwany Gruby Ludwik musiał opuścić Francyę. I tem dziwniejsze były te poszkiwania, że nie wiedziano, czy przyniosą one jakie fakta, mogące rozświetlić sprawę.

Pan Noileau, zawsze cierpliwy, systematyczny, zamęczał teraz oskarżonego, starając się koniecznie wydobyć z niego jakie zeznania. Milczenie Germonpré'a brał za podstęp, lub też zboczenie umysłowe. Dlaczego nie chciał się on przyznać? Bo właściwie nie było się co łudzić co do winy oskarżonego. Znaleziono go w pokoju, do którego nikt inny wejść nie mógł, gdyż był z zewnątrz na klucz zamknięty, samego z zamordowanemi ofiarami. A co znaczyć miał ów skrwawiony sztylet, znaleziony w kieszeni jego surduta? Czy mógł temu oskarżony zaprzeczyć? Mógłby przecież dać jakieś objaśnienie, wytłómaczenie, ale nie wypierać się uparcie wszystkiego. Niechże więc, jeżeli jest niewinny, przedstawi sędziemu realny, pewny dowód tej niewinności!

Zajęty i zdenerwowany tą nieszczęśliwą sprawą, która pozbawiała go snu i spokoju, sędzia Noileau nie dostrzegł chorobliwego stanu oskarżonego. A przytem widując go dość często, nie zauważył zmiany wyglądu, spowodowanego chorobą.

W tym to czasie spokój i rozwaga p. Noileau były wystawione na poważne próby. Zbliżał się dzień ślubu Jerzego d'Armoy z Alicyą Morinval. Berton-Morinval z córką wybrali się do Paryża celem porobienia potrzebnych do wyprawy zakupów.

Pan Noileau, jako były opiekun Jerzego, pomimo swoich kłopotów i braku czasu, był zmuszony stykać się z rodziną Morinval w czasie jej pobytu w Paryżu.

I oto dziwnym zbiegiem okoliczności Noileau miał w rękach los człowieka, który swojego czasu wyrządził był taką straszną krzywdę w podobnych zupełnie warunkach przyszłemu teściowi jego ukochanego pupila i młodego przyjaciela Jerzego d'Armoy.

Przy pierwszem spotkaniu z Berton-Morinvalem, jakgdyby to była rzecz z dawna umówiona, nie wspominano nawet o oskarżonym Germonpré. Dopiero pewnego dnia, w przeddzień odjazdu Morinvala do Châlon, przy końcu obiadu wybuchła burza, której tak się Noileau obawiał. Powód do niej dała jakaś wzmianka o sprawie Germonpré'a, wyczytana w dzienniku. Przemysłowiec poważnie, dobierając z rozmysłem słów, nie wchodząc w przyczyny i dowody, mogące powodować opinię przedstawicieli sprawiedliwości, zaznaczył swoje niezbite moralne przekonanie o niewinności oskarżonego, przekonanie, którego się nie wyrzeknie aż do chwili, gdy wina jego okaże się jasna i pewna.

Bezwiednie tem wystąpieniem Berton-Morinval potępiał sposób prowadzenia sprawy sędziego Noileau. Tenże z brwią ściągniętą, zimny, zdenerwowany, słuchał w milczeniu, chcąc tym sposobem zakończyć tak niemiłą i drażliwą dla siebie rozmowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązanie Dumy.

Krótszym jeszcze, niż pierwszej Dumy, był żywot drugiej. Została rozwiązana w parę tygodni zaledwie po zwołaniu, w następstwie tego, iż niektórzy jej członkowie, mianowicie socyalistyczni rewolucyoniści połączyli się z tajnymi związkami, dążącymi do zamachu stanu w Rosyi. Rząd, wpadłszy na ślad tego spisku, domagał się, aby Duma tych posłów, którzy byli członkami tajnych związków, wydała sądom. Duma odmówiła i to zadecydowało o jej losie. Rozporządzenie cesarza Mikołaja II-go, z dnia 3 (st. st.) czerwca 1907 r. rozwiązuje drugą państwową Dumę, a równocześnie ogłasza nowe wybory na podstawie zmienionej ordynacyi wyborczej na wrzesień, zaś otwarcie trzeciej Dumy zapowiada na listopad br.

Rozwiązanie Dumy nie było niespodzianką dla tych, którzy bacznie śledzili bieg wypadków w Rosyi w ostatnich dniach. Już na kilka dni przed ogłoszeniem manifestu cesarskiego utrudniono dostęp do gmachu Dumy dziennikarzom, co zapowiadało jakieś ważne wypadki.

Nie mogąc się dostać do wnętrza, gromadzili się dziennikarze i korespondenci w pobliżu Dumy, oczekując sensacyjnych wieści i komentując ostatnie wypadki w państwie.

Ryciny nasze przedstawiają grupę dziennikarzy, zebranych przed gmachem Dumy w przededniu jej rozwiązania.

Szkoła korpuśna w Przemyślu.

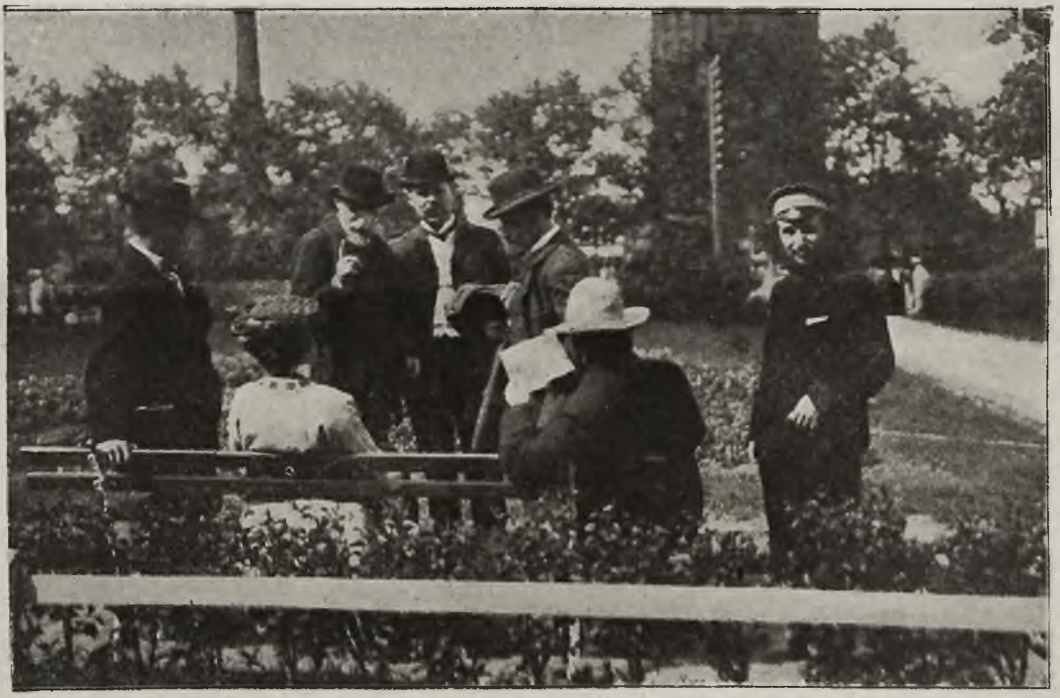
Jak zwykle, tak i tego roku, odbył się kurs wojskowy przy komendzie XI-go korpusu w Przemyślu, noszący nazwę „Corpsschule“. Uczestników tego kursu, razem z marsz. pol. porucznikiem Aulichem, podajemy dziś w podobiznach.

Zupełnie słusznie patrząc na tę rycinę możnaby nabrać przekonania, że u nas stosunki awansu są bardzo smutne. Uczestnicy bowiem tego kursu są przeważnie ozdobieni medalami z r. 1898-go, a więc ile czasu muszą czekać zanim dostaną trzecią gwiazdkę, czyli, gdy zostaną kapitanami?...

Pomimo tego służą dalej, poświęcając najpiękniejszą część swojego życia dla „wojny w czasie pokoju“, w nadziei, że być może kiedyś uda się im zużytkować praktycznie wiadomości, jakich nabyli w „szkole korpuśnej“. Jest ona do pewnego stopnia ułatwieniem dla tych, co pragną otrzymać wyższe stopnie wojskowe, bo ułatwia im osiągnięcie godności majora, związanej z komendą oddziałów mniej więcej samodzielnych. Wprawdzie uczestnik takiego kursu długo jeszcze czekać musi, zanim zostanie majorem, jednak kurs, jaki odbędzie w tzw. „Korpsschule“, stanowi dlań wstęp do wyższych dostojeństw wojskowych. Dziś, gdy od wojska wymaga się olbrzymiego natężenia nietylko sił fizycznych, ale także intelektualnych, odpowiednia frekwencya w tych szkołach oraz wyzyskanie materyału naukowego mogą stanowić bardzo ważny atut w chwili, gdyby przyszło armii austryacko-węgierskiej zmierzyć się z inną armią.

Niewątpliwie polityka mocarstw dąży do tego, aby ograniczyć możliwie zakłócenie pokoju międzynarodowego — jednakże każdej chwili mogą zajść komplikacye, gdzie „ultima ratio“, tj. siła broni, będzie rozstrzygała o najżywotniejszych interesach państw i narodów. Wtedy więc ci, co będą lepiej przygotowani, będą mogli rozstrzygać o tem, jak mają ukształtować się stosunki polityczne danego kraju lub narodu.

Wojna, jako wynik istniejących stosunków, jest „malum necessarium“. Jednakże skoro istnieje, niechaj będzie jak najlepszą, aby nas mogła w Austryi bronić od nawały z zachodu i północy. Do osiągnięcia tego celu służą po części „szkoły korpuśne“, gdzie oficerowie wszystkich gatunków broni uzupełniają i nabywają wiadomości bojowe.



Rozwiązanie Dumy: Dziennikarze i korespondenci zebrani w przededniu rozwiązania drugiej Dumy w okolicy pałacu Taurydzkiego. Fot. A. Drankow, Petersburg.



Fot. Drankow, Petersburg.
Rozwiązanie Dumy: Dziennikarze i korespondenci zgromadzeni w przededniu rozwiązania drugiej Dumy w okolicy pałacu Taurydzkiego.



Szkoła korpuśna w Przemyślu: Uczestnicy kursu z marszałkiem polnym porucznikiem Aulichem (X) komendantem kursu na czele. Fot. M. Todt w Przemyślu.

Krew na weselu.

(Do illustracyi tytułowej.)

Wesela i chrzciny po wsiach galicyjskich, uroczystości niewątpliwie radosne i wesołe, kończą się w bardzo dużej ilości wypadków krwawemi zajściami, niejednokrotnie nawet śmiercią któregoś z uczestników. Przyczyną tego jest nieszczęsna wódka, która stanowi „clou“ przyjęć wiejskich. Pod jej wpływem rozgrzane umysły, podniecone namiętności, niesłychanie trudno utrzymać w karbach, a w tych warunkach lada drobnostka wywołać może najstraszniejszą awanturę.

Świeżo zaszedł taki straszny wypadek na weselu włościańskiem na „Grobli“ w Niepołomicach.

Oto w czasie ochoczych, wesołych tanów przyszło do sprzeczki między młodym, tęgim parobkiem z Niepołomic, Franciszkiem Bystrowskim, synem miejscowego gospodarza a kapralem 2 p. ułanów, Józefem Koczurem. W grę wchodziła zazdrość. Bystrowski mianowicie zauważył, że dziarski ułan zbyt natarczywie zaleca się do jego narzeczonej Siwkówney, a uważając swoje prawa za lepsze, uderzył intruza dwa razy w twarz. Kapral Koczur początkowo nie reagował, ciężka jednak zniewaga, jakiej doznał wobec dużego grona gości weselnych, nie dała mu ani na chwilę spokoju. Nie mówiąc nikomu ani słowa, opuścił na krótki czas dom, w którym wesele się odbywało, i udał się do swoich koszar. Zabawił tam krótko. Tyle, ile było potrzeba, aby nabić wielki rewolwer służbowy, który leżał obok jego łóżka.

Ze straszną tą bronią wrócił na wesele, aby pomścić doznaną zniewagę. Zemsty też dokonał ze skutkiem. Oto strzałem z rewolweru powalił na ziemię Bystrowskiego, który padł z przestrzeloną skronią. Nie na tem jednak skończyła się tragedya na weselu. Koczur bowiem, ujrzawszy swego wroga u swych stóp ze straszną raną w skroni, skierował lufę rewolweru ku sobie i celnym strzałem śmierć sobie zadał.

Dwa trupy! Oto koniec hucznego wesela w Niepołomicach...

Z tygodnia

W chwili, kiedy to piszę (niedziela, godz. 8, min. 33 po połud. — należy być dokładnym) losy Dumy zapewne są zdecydowane — i prawdopodobnie, zanim wyjdą „Nowości“, będzie już dziennikarstwo dla drugiej Dumy pisać nekrologi.

W nekrologach tych radzę zwrócić uwagę na dziwny zbieg okoliczności. Żądanie Stołypina, aby wydalono z Dumy 55 posłów, a 16 z nich pozwolono aresztować, było postawione we czwartek, a już we środę ambasador niemiecki zapowiadał rozpuszczenie Dumy. Może ktoś między tymi dwoma faktami zechce dopatrywać się jakiegoś związku — ci jednak, którzy wierzą Prusakom na słowo (a któżby im nie wierzył?) wiedzą, że rząd państwa niemieckiego „nigdy się nie miesza do spraw wewnętrznych państw innych“. Więc też proszę ani na chwilę nie przypuszczać, aby w tym razie odstąpił od swojej zasady.

Również dowodem krótkowidztwa i niepotrzebnej podejrzliwości byłoby sądzić, że projekt zmniejszenia liczby posłów z Królestwa Polskiego mógł powstać w jakiejś pruskiej głowie. Co prawda, ci Polacy w Dumie stali się ogromnie niewygodni — na którą stronę przeszli, tam była większość. Oni więc „de facto“, gdyby tak poszło dalej, decydowaliby we wszystkich sprawach państwa rosyjskiego. Z czasem rząd musiałby przed wniesieniem każdego projektu zapytać się posłów polskich: czy panowie pozwolą? A ponieważ w polityce matołkiem jest ten, co robi grzeczności dla tych, co się „nie znają na grzeczności“, czyli, że maksyma „do ut des“ jest podstawą każdej rozumnej polityki, więc rząd, chcąc pozyskać dla siebie głosy polskie, musiałby nieustannie czynić Polakom tak zwane ustępstwa.

Gdyby kwestya rozwiązania Dumy nie górowała nad innemi, byłbym rozpoczął moją kronikę od zjazdu kobiet w Warszawie, choćby z tej przyczyny, że dopóki równouprawnienie płci nie nastąpi, dopóty kobietom zawsze będzie się należało pierwszeństwo.

Zjazd ten miał dwa cele: pierwszy oddać hołd znakomitej powieściopisarce Orzeszkowej, a drugi... wygadać się. Obu tych celów dopięto z tą tylko różnicą, że uczczenie Orzeszkowej odbyło się bez żadnego dysonansu, było pięknym objawem wdzięczności kobiet i całego społeczeństwa dla znakomitej autorki i obywatelki, a „wygadanie się“ (cel drugi) przypominało czasami dyskusye, jakie się toczą w Warszawie na rynku Starego Miasta, a w Krakowie na placu Szczepańskim.

Byłoby niesprawiedliwością nie przyznać zjazdowi wielu stron dodatnich. Samo podniosłe zagajenie Konopnickiej już wystarczyłoby, aby zapomnieć o jednym lub drugim dysonansie. Ze sprawozdań dziennikarskich nabieramy przekonania, że warto było posłuchać i obdarzyć oklaskami to, co mówiła p. Bohowiczowa z Kalisza o wychowaniu dzieci proletaryatu, p. Morawska o pracy oświatowej wśród ludu, p. Świacka o stanie oświaty na Białorusi. Śliczny obraz pracy kobiet w Warszawie w ostatnich dziesięciu latach podała p. Śniegocka; była to kartka z martyrologii polskiego tajnego nauczania. Takiż sam obraz tajnego ruchu oświatowego na Litwie wyszedł z ust p. Jeleńskiej Dmochowskiej. Były i takie panie, które nie wahały się zaznaczyć, że kobiety, dobijające się praw, a więc i rozszerzenia swoich obowiązków, niezupełnie zadość czynią dotychczasowym swym obowiązkom. Boć nie inne wrażenie musiały uczynić uwagi p. Łozińskiej z Kijowa, tyczące się „małego przygotowania kobiet do spełniania obowiązków macierzyńskich“, a więc najważniejszych, jakie Opatrzność nałożyła na kobietę. Milczą też sprawozdawcy, jak przyjęto referat p. Kozłowskiej, który poruszył sprawę hygieny gospodarstwa domowego, przedstawiając potrzebę zmian i reform w tej „zaniedbanej“ dziedzinie.

Poprzestajemy na tych „stronach dodatnich“, których zapewne musiało być znacznie więcej. Potem jednak „suum cuique“, zaznaczyć należy, że na ogólnych posiedzeniach zjazdu i na obradach sekcyj przeważnie święciła tryumfy frazeologia a la Turzyma. W popisach tych, przyznajmy, brały udział nie same tylko kobiety; razem z nimi zbierali laury pp.: Lednicki, Wróblewski, Krzywicki itd. Ale to jeszcze można by darować, gdyby nie cały szereg kłótni i polemik, które z poważnej sali obrad zrobiły karczmę. Nie pomagały ani prośby, ani groźby — nadarmo pracowały dzwonki przewodniczących. Była chwila, że nawet p. Iza Moszczeńska, doprowadzona tą „wolnością słowa“ do rozpaczy, zaczęła tupać i wołać: bądźcie cicho! Gwarancya komitetu, że nie będą poruszane sprawy partyjne i religijne, że wszyscy biorący udział w zjeździe mogą być pewni uszanowania ich zapatrywań politycznych, zawiodła najzupełniej. Najspokojniejsze referaty, jak np. p. Suligowskiego, przyjęte były... gwizdaniem. Zaczęto sobie używać na narodowych demokratach, na duchowieństwie itd., co wywoływało protesty, które starano się zagłuszyć krzykami. Kilka razy powstawał taki harmider, jak w żydowskiej szkole; kto chciał wdzierał się na trybunę i dobywał piskliwego lub tubalnego głosu.

Ale najlepiej udało się plenarne zakończenie zjazdu. P. Rygier-Nałkowska, warszawska grafomanka, w imieniu najmłodszych „zjeździła“ zjazd co się zowie. Między innemi oświadczyła, że zjazd nie był pełnym, bo komitet pominął przy zaproszeniach... prostytutki. Zrobił się naprzód szmer, potem huczek. Tu właśnie p. Moszczeńska tupała ze złości, a p. Turzyma z radości. Gdy z huczku zrobił się huk, przewodnicząca zjazdu, znakomita poetka Konopnicka, uznała za stosowne ulotnić się. Hałas się wzmagał, histeryczki i „najmłodsi“ obojga płci byli w swoim żywiole. Z chwilowego uciszenia się skorzystał p. Magnus i oświadczył, że uczestniczki zjazdu prawdziwie zasłużyły na równouprawnienie, bo wysłuchały cierpliwie rzeczy, których on nie odważyłby się powtórzyć w męskiem towarzystwie. Słowa te pokryły śmiechy i krzyki. Gdy końca wrzawie nie było, zastępczyni przewodniczącej oświadczyła, że Konopnicka opuściła salę i nie zakończy zjazdu przemówieniem. Odezwały się liczne głosy: szczęśliwej podróży! obejdzie się bez „zacofanych!“ (!) krzyżyk na drogę!

Tak się zakończył pierwszy zjazd kobiet polskich w Warszawie, a dr. Henryk Nussbaum w kilka dni później wygłosił odczyt „O mądrości“. Czemu tego nie uczynił wcześniej?

Warszawa bawiła się nietylko zjazdem kobiet. Pozwolono jej nareszcie zobaczyć offenbachowską „Księżniczkę Gerolstein“, ową sławną... antifeministkę. Dobre i to, kiedy większej pociechy z konstytucyi mieć nie można.

We Lwowie osunął się kopiec Unii, stąd, jak twierdzą dzienniki, zapanowało przerażenie. Zabobonni widzą w tym całkiem naturalnym wypadku jakąś nadzwyczajną przepowiednię. Tymczasem, gdyby w tem samem miejscu usypano kopiec na pamiątkę jakiegokolwiekbądź innego historycznego wypadku, ten sam los byłby go spotkał. Poprostu ów słynny „potop“ lwowski z przed dwóch tygodni podmył podstawę kopca. Gdzie fundamentem takich usypisk nie jest skała, tam o ich usunięcie się nie trudno. Gorzej, że przesunęła się w najpopularniejszym warszawskim dzienniku data wielkiego historycznego faktu, dziennik ten bowiem zaręcza, że Smolka rozpoczął sypanie kopca w r. 1896 (tak), jako w 300 rocznicę Unii Lubelskiej.

W Krakowie mieliśmy proces szparagowy i... totalizatora dla dam. Mimo wszelkich usiłowań trybunału, prokuratora i obrońców, nie udało się nam dowiedzieć, czy p. Kłuszyńska jadła cudze szparagi, o co ją publicznie posądził p. Friedl, czy też szparagi kupione za własne pieniądze, czy wreszcie całkiem nie jadła szparagów. Wogóle nie ustalono nawet faktu, czy te szparagi, jeśli istniały wogóle, miały smak przyjemny, czy też były gorzkie; zdaje się, że społeczeństwo w tej niepewności na zawsze już pozostanie. Co do totalizatora dla dam, ten z pewnością w skutkach okazał się gorzki, choć sam pomysł wprowadzenia go zasługuje na wysokie uznanie. Bądź co bądź jest to jeden krok naprzód do równouprawnienia kobiet.

Miałem na ten temat snuć dalej uwagi, a potem wspomnieć jeszcze o nowych „parach“, dożywotnich i dziedzicznych, jacy przybyli Galicyi, ucieszyć się z orderu słonia, udzielonego przez króla duńskiego p. Faliéresowi, wyrazić powątpiewanie w pojawienie się prawdziwego Jana Ortha, zaprzeczyć pogłoskom o romansowem usposobieniu króla Karola portugalskiego itd. — gdy wtem (poniedziałek, godz. 11 min. 24) dowiaduję się, że sprawdziło się moje proroctwo, bo losy Dumy zostały rzeczywiście wczoraj zdecydowane. I to nie wczoraj wieczorem, ale bardzo rano, bo już na 14 godzin przedtem, zanim zacząłem pisać kronikę, telegraficzna ajencya petersburska rozesłała o tym fakcie wiadomość po szerokim świecie i cały świat też o nim szeroko rozprawiał. Dlaczego więc Kraków dowiedział się o nim dopiero nazajutrz, po upływie całej doby z okładem? Naturalnie dlatego, że mamy na miejscu w Krakowie ajencyę wiedeńskiego biura korespondencyjnego. Póki jej nie mieliśmy, przychodziły telegramy co dzień, a więc i w niedzielę, wprost do redakcyj dzienników — obecnie, ponieważ ją mamy, niedzielne telegramy spoczywają sobie w ajencyi do poniedziałku. I słusznie. Po co ludziom w niedzielę głowę zawracać jakąś polityką? — niech się bawią, niech świętnją bez troski. Takie to namacalne korzyści mamy z krakowskiej ajencyi biura korespondencyjnego.

Król i błazen.

Król do błazna raz rzecze,
Wśród poufnej rozmowy:
— „Powiedz-że mi człowiecze,
Skąd twój humor różowy?

„Kto te zmarszczki ma w twarzy,
Życia w szczęściu nie spędza!
Powiedz jak się kojarzy
Twa wesołość i nędza?“

Błazen rzekł mu: „Wyniosłą
Masz postawę mój królu,
Choć dość serce przeniosło
I zawodów i bolu!

A król: „Nie znasz pańszczyzny?
A gdy znasz ją nie chłostaj!
Kryje rany i blizny
Ten królewski gronostaj!“

Błazen rzekł mu nareszcie:
„Tak z nas każdy świat mami!
I ja kryję — ach! wierzcie,
Ból mój — pstremi strzępami!...“

K. K.

Nowe Koło polskie.

Gruntowna, zasadnicza zmiana ordynacyi wyborczej w Austryi wprowadziła do wiedeńskiego Koła polskiego żywioły zupełnie odmienne od tych,



Nowe Koło polskie: J. E. Dawid Abrahamowicz, wybrany prezesem nowego Koła polskiego w Wiedniu.

które wchodziły tam dotychczas, za czasów systemu kuryalnego. Delegacya polska zdemokratyzowała się. Konserwatyści, zarówno stańczycy, jak podolacy, musieli ustąpić, aby zrobić miejsce demokratom rozmaitych odcieni, centrum ludowemu i ludowcom. Z koserwatystów przeszło przy ostatnich wyborach zaledwie kilkunastu i to tylko takich, którzy działalnością swą parlamentarną w poprzednich latach wysunęli się na czoło delegacyi polskiej, którzy zdolnościami, pracowitością i wymową zdobyli sobie uznanie nawet przeciwników politycznych.

Zdawało się początkowo, kiedy wynik wyborów w Galicyi stał się znanym, że kwestya wyboru prezydyum nowego Koła polskiego będzie przedstawiać pewną trudność, że demokracya, która dążyła w czasie akcyi wyborczej do objęcia steru rządów w kraju, mając większość w Kole polskiem, nie zechce iść pod przewodnictwem dawnych „regimentarzy“ kołowych. Stało się jednak inaczej. Na niedzielnem posiedzeniu Koła polskiego wybrano prezesem ponownie Dawida Abrahamowicza, a wybrano go 49 głosami na 51 głosujących, czyli niemal jednogłośnie.

I trudno się dziwić temu wyborowi. Cokolwiek możnaby powiedzieć z jednej strony o zdolnościach parlamentarnych nowowybranych demokratów, a z drugiej o dotychczasowej działalności p. Abrahamowicza, która—jak wiadomo—spotykała się nieraz z bardzo ostrą krytyką, przyznać trzeba, że w obecnych warunkach jedynym człowiekiem, który mógł stanąć na czele nowej delegacyi polskiej w Wiedniu, był tylko p. Dawid Abrahamowicz. Parlamentarzysta ogromnie wytrawny, człowiek wysokich zdolności, mowca wykwintny, a przedewszystkiem polityk doświadczony i niezwykle sprytny, daje p. Abrahamowicz rękojmię, że działalność Koła polskiego w parlamencie austryackim odpowie oczekiwaniom polskiego społeczeństwa, że nowe Koło polskie będzie godnym tego społeczeństwa zastępcą.

W uzupełnieniu tego artykułu, zamieszczamy dziś portret prezesa nowego Koła polskiego.

Odjazd posła.

Ostatnie wybory do Rady państwa, dokonane w Galicyi zachodniej, były charakterystyczne także i z tego względu, iż ludność głosowała tu najchętniej na kandydatów w sukmanach, na kandydatów-chłopów. I podczas gdy włościaństwo ruskie wysłało do parlamentu prawie wyłącznie „inteligentów“, adwokatów, dziennikarzy i księży, to polskich włościan reprezentować będą przeważnie włościanie. A dodać trzeba, że objaw ten wspólny był wszystkim stronnictwom, zarówno ludowcom, jak i centrum, lub partyi demokratyczno-narodowej.

Nie miejsce tu rozstrzygać kwestyę, czy stanowisko takie jest politycznie rozumne, czy ono w dzisiejszych stosunkach było wskazane. Niemniej jednak trzeba stwierdzić sam fakt, podkreślając równocześnie, że włościanie polscy głosowali na kan-



Odjazd posła: Ludność z pod Tarnobrzega żegna p. Wiącka na dworcu kolejowym.



Odjazd posła: Banderya włościan z pod Tarnobrzega odprowadza p. Wiącka na dworzec kolejowy.



(Do artykułu na str. 9.) Fot. M. Münz we Lwowie.

Usuwanie się Kopca we Lwowie: Ankieta, zwołana z inicyatywy wiceprezydenta Lwowa dr. Rutowskiego, w sprawie rekonstrukcyi usuwającego się Kopca Unii Lubelskiej. 1. Prezydent St. Ciuchciński; 2. Wiceprezydent dr. Rutowski; 3. Radny miasta Kroch; 4. Prof. Skibiński; 5. Radny m. Epler; 6. Radny m. Schleyen; 7. Inżynier Brunek; 8. Radny m. Śliwiński; 9. Inżynier Wydziału kraj. dyr. Kędzior; 10. Radny m. Rawski; 11. Prof. Syroczyński; 12. Inspektor plantacyi m. Röhring 13. Inżynier Wydź. kraj. Wierzbicki.

dydatów-chłopów wprost z entuzyazmem i z wyborem ich łączyli jak najpiękniejsze nadzieje. Do posła-chłopa łatwiej im się zbliżyć, on łatwiej ich bóle i ich troski codzienne pojmie, a pewnie i zaradzić im potrafi.

Jednym z takich wybrańców, szczególniej przez ludność cenionym i lubianym, jest poseł Wiącek z pod Tarnobrzega, członek stronnictwa demokratyczno-narodowego. Kiedy nadszedł dzień odjazdu do Wiednia, ludność z okolicy urządziła mu na pożegnanie serdeczną owacyę. Młodzież wiejska dosiadła koni i w pięknych, malowniczych strojach krakowskich, utworzyła wspaniałą banderyę, a otoczywszy wóz, którym poseł z rodziną zdążał ku dworcowi kolejowemu w Tarnobrzegu, odprowadziła go gremialnie, wznosząc po drodze gromkie na jego cześć okrzyki. A potem krótkie pożegnanie na dworcu, naprzód z rodziną a następnie z wyborcami — i jazda do Wiednia! Na ciężką, choć zaszczytną pracę dla dobra braci-włościan, kraju i narodu.

Obok zamieszczone ryciny przedstawiają: jedna banderyę włościan, otaczającą posła Wiącka, druga pożegnanie na dworcu w Tarnobrzegu.

Obrazek z Dumy.

Przy olbrzymich przestrzeniach w Rosyi, dzielących powiat od powiatu, gubernię od gubernii, ludziom trudno porozumiewać się z centralnymi władzami i to tem więcej, że panuje tam naiwne przekonanie o możności załatwienia wszystkich swoich spraw prywatnych w Petersburgu.

Skutkiem tego idą ludzie setki wiorst do Petersburga, bo najczęściej nie stać ich na kolej. Wśród bardzo wielu ludzi, a szczególniej pomiędzy ludem, panuje takie przekonanie, że jeżeli udadzą się sami do Petersburga i tam ustnie wyjaśnią sprawę, proces ich musi być wygranym, gdy go w dodatku poprze jakiś poseł. Jeden i drugi idzie całymi tygodniami o chlebie i wodzie, aby osobiście prośbę swą wręczyć któremuś z posłów i prosić go o poparcie.



Obrazek z Dumy: Uboga wdowa, przedkłada swą prośbę jednemu z posłów Dumy. Fot. A. Draukow z Petersburga.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy jakaś biedna wdowa przedkłada jednemu z posłów włościańskich swoją prośbę. O co jej chodzi — nie wiadomo, widać jednak, że musi być bardzo potrzebująca, skoro aż w taką drogę, wraz z dziećmi, wybrała się ze swoją petycyą.

Echa wyborów w Stanisławowie.

(Do ilustracyi na stronie 10).

Miłą pamiątką akcyi wyborczej w Stanisławowie będzie niewątpliwie dla jej uczestników fotografia, przedstawiająca ścisły komitet obywatelski, popierający kandydaturę posła inż. Pawła Stwiertni.

Komitet ten dokazał istotnie znacznego dzieła, albowiem w warunkach bardzo ciężkich przeforsował kandydaturę człowieka, który ze wszech miar sobie na to zasłużył, jako długoletni poseł z tego miasta, wytrawny parlamentarzysta i szczery demokrata, ze stronnictwa postępowej polskiej demokracyi.

Komitet ten podwójną położył zasługę, albowiem przy pierwszym wyborze rozprawił się najpierw z kliką wszeteczną, która deprawowała wszystkie stosunki miejskie, przy ściślejszym zaś wyborze, pomiędzy p. Stwiertnią a drem Braudem, zwalczył kandydaturę tego syonisty, mając przeciwko sobie



Fot. M. Münz we Lwowie.

Wystawa przyrodniczo-lekarska we Lwowie: Fragment z uroczystości otwarcia wystawy; Marszałek hr. Badeni (X), w towarzystwie komenderującego i dyr. wystawy dr. Krzyżanowskiego przechodzi przez plac wystawy.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Wystawa przyrodniczo-lekarska we Lwowie: Fragment z otwarcia wystawy; przed pawilonem lekarskim marszałek hr. Badeni (1), wicepr. namiestnictwa hr. Łoś (2), i komenderujący hr. Auersperg (3).

Z okazyi tego zjazdu, którego obrady rozpoczną się w najbliższym czasie, urządzono we Lwowie na placu powystawowym wystawę przyrodniczo-lekarską. Ma ona dać plastyczny i dokładny obraz tego, co wiedza lekarska przy pomocy władz już to autonomicznych, już to rządowych na polu hygieny zdziałała, ma dalej wykazać postęp polskiego przemysłu w tym zakresie.

Od wielu tygodni pracowano gorliwie nad przygotowaniem tej interesującej i pożytecznej wystawy. W ostatnich dniach nie zarzucano pracy nawet w nocy, aby tylko w czas ją zakończyć. Ożywił się więc znowu obszerny plac powystawowy na wzgórzu stryjskiem, napełnił się gwarem pawilon sztuki; wzniesiono nadto kilka pawilonów.

Nowowowybrani posłowie.



Stanisław Stohandel (centrowiec). Jaworzno Chrzanów-Liszki.



Eustachy Zagórski (konserwatysta) Skałat-Husiatyn-Kopyczyńce.

zwartą falangę żydostwa, które agitatorzy syonistyczni umieli sfanatyzować.

Nie poprzestając na odniesionem zwycięstwie zainicyował obecnie ten sam komitet akcyę około stworzenia w Stanisławowie silnej organizacyi demokratycznej. Stało się to przez założenie tam stowarzyszenia demokratycznego, opartego na programie postępowego stronnictwa demokratycznego, które zjednało sobie zaraz przy zawiązaniu około czterystu członków.



Wyścigi konne w Krakowie: Zwycięzca w biegu pierwszym i drugim bar. Wodianer (X).

Wystawa przyrodniczo-lekarska we Lwowie.

Dla postępu i rozwoju wiedzy, o jakąkolwiek chodziłoby jej gałęź, mają niesłychanie doniosłe znaczenie zjazdy i kongresy najwybitniejszych przedstawicieli tej wiedzy, zaznajamiają bowiem lepiej, niż broszury lub artykuły, z najnowszymi wynalazkami i odkryciami w danej dziedzinie i najskuteczniej je popularyzują. Zjazdy i kongresy takie odbywają też od czasu do czasu lekarze i przyrodnicy polscy. X-ty kongres taki miał się odbyć we Lwowie już przed paru laty, z powodu jednak zajść pod zaborem rosyjskim odłożono go do tego roku.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Wystawa przyrodniczo-lekarska we Lwowie: Wnętrze jednej z sal w pawilonie sztuki.

Otwarcie wystawy nastąpiło w niedzielę rano. Przybyli na nie przedstawiciele władz: marszałek kraju St. hr. Badeni, wiceprezydent namiestnictwa hr. Łoś, komenderujący hr. Auersperg w otoczeniu jeneralicyi, prezydyum miasta wraz z członkami Rady miejskiej, przedstawiciele uniwersytetu i politechniki, akademii weterynaryjnej, mnóstwo lekarzy cywilnych i wojskowych itd.

Imieniem miasta pierwszy przemówił wiceprezydent dr. Rutowski, a po nim dyrektor wystawy dr. Kalikst Krzyżanowski, który wyjaśnił doskonale trojaki cel wystawy, a mianowicie: ujawnienie postępów nauki w dziedzinie przyrodniczo-lekarskiej i hygieny, rozpowszechnienie tych postępów wśród najszerszych warstw społeczeństwa i podniesienie przemysłu polskiego, zależnego od działów, wystawą objętych. Nakoniec przemówił prezes komitetu X-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, dr. Bylicki, ogłaszając wystawę jako otwartą.

Wystawa lwowska przedstawia się okazale i robi bardzo dodatnie wrażenie. Dzieli się ona na dwa oddziały: przyrodniczo-lekarski i hygieniczny. Pierwszy obejmuje pięć grup: naukową, balneologiczną, aptekarską, przemysłu chemicznego, oraz narzędzi i przyrządów; drugi zaś dziesięć: hygienę żywienia, grupę urządzeń gminnych ku utrzymaniu zdrowia ludności, szpitalnictwo, wychowanie młodzieży, hygienę fabryk i stanu robotniczego, hygienę mieszkań, hygienę odzieży, grupę chorób zakaźnych i ich zwalczanie, hygienę dziecka i hygienę ludu.

Ogółem bierze w wystawie udział 435 wystawców, przeważnie galicyjskich; znaczna też ilość jest z Królestwa polskiego; wystawców zagranicznych dopuszczono w bardzo niewielu gałęziach, w których przemysł polski nie jest zastąpiony.

Zainteresowanie wystawą jest bardzo duże. Zaraz w pierwszym dniu, w dniu otwarcia, zwiedziło ją kilkanaście tysięcy osób.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy dwa zdjęcia z uroczystości otwarcia, oraz wnętrze jednej z sal pawilonu sztuki.



Wyścigi konne w Krakowie: Zwycięsca w III. biegu por. Woyciechowski na »Wiatrówce«.

Wyścigi konne w Krakowie.

Tegoroczne wyścigi konne w Krakowie wzbudziły większe, niż w kilku ostatnich latach zainteresowanie Objawiło się to przedewszystkiem w ogromnie żywym ruchu, który — zwłaszcza w dwu pierwszych dniach wyścigów — panował na torze za rogatką Wolską. Powozami, fajetonami, dorożkami, tramwajami a wreszcie pieszo ciągnęły tłumy krakowskiej i przyjezdnej publiczności ku placowi wyścigowemu, aby przypatrzeć się zapasom jeźdźców, zapasom prawdziwie pięknym i interesującym.

Przebieg wyścigów w dwu pierwszych dniach odpowiedział w znacznej mierze zainteresowaniu. a w dniu drugim nawet je przeszedł. Biegi bowiem były bardzo interesujące, a udział brało w każdym z nich po kilku jeźdźców. Przyczyniło się to także do ożywienia ruchu koło budki totalizatora, a w następstwie przyniosło także kilka niespodzianek, miłych zresztą bardzo dla drobnego grona szczęśliwców.

Dzień drugi wyścigów urozmaiciły nadto wypadki, których kilka zaszło na torze. Jeden z nieszczęśliwym wynikiem, gdyż spowodował śmierć konia. Natomiast inne, zwłaszcza w biegu VI.

Z lwowskiego bruku.

(Uroczysty tydzień. — Otwarcie wystawy hygienicznej i kradzież nieuroczysta. — Lwowski prater. — Wyjazd posłów. — Koronacya p. Ciuchcińskiego. — Z za kulis jego wyboru i zatwierdzenia. — Zawalenie się Kopca. — Żal za operetką. — Frenkel. — Ustąpienie Sosnowskich.

Cały tydzień ubiegły był uroczysty. Zaczął się od uroczystego otwarcia wystawy hygienicznej, która zaraz pierwszego dnia została nieuroczyście okradzioną. Niektóre bowiem przedmioty były tak piękne, że zachwycona publiczność rozkradła je odrazu, ażeby mieć pamiątkę z wystawy.

Po południu tego dnia plac powystawowy przemienił się w Prater wiedeński, a 20.000 osób bawiło się tak wybornie, jak może nigdy przedtem. Panie miały tak przepyszne toalety, jakie się tylko widzi na londyńskiem lub wiedeńskiem Derby, a ponętne, cudne abażurowe pończoszki i to, co w nich tkwiło, mistrzowsko rzeźbione, narażone było poprostu na połknięcie ze strony wiecznie głodnych na takie łakocie mężczyzn. Jeden z nich nawet zapomniał się w zachwycie tak bardzo, że nie mogąc gołą ręką, bodaj laską dotknął dolnej części pulchnej nóżki pięknej doktorowej S., za co na miejscu wymierzył mu jej mąż gorący policzek na ochłodzenie. Powiadają, że wyniknie z tego jakać strzelająca nieprzyjemność honorowa, o czem, gdyby coś takiego nastąpiło — w swoim czasie doniosę szczegółowo. Wogóle stał się w ostatnich kilku latach lwowski plac powystawowy nietylko punktem zbornym całego literalnie Lwowa, ale i miejscem nawiązywania znajomości i stosunków, a przedewszystkiem wybornem miejscem flirtu, tego delikatnego i tego grubszego. Może dlatego ściągają się tu takie tłumy pięknych kobiet... W każdym razie niema we Lwowie w lecie przyjemniejszego miejsca rozrywki. Wieczorem całe wzgórze oświetlone tysiącami lampek elektrycznych, w których złotym blasku mienią się cudnie rozmaite barwy damskich strojów. Nadto kinematograf, nadto plac zabaw dla dzieci, wojskowych i kucharek — nadto trzy restauracye dla głodnych i spragnionych, nadto dwie kapele wojskowe, grające ciągle rozmaitości z „Wesołej wdówki“, nadto cukiernie, składy pierników, kawiarnia, trafika, poczta, fabryka kiełbasek, Turul itp. Nic dziwnego, że to wszystko podnosi humory uczestników i każe zapominać o troskach.

* * *

Drugą uroczystością było otwarcie parlamentu wiedeńskiego, do którego wysłaliśmy naszych posłów, ażeby się tam za nami wstawili. Ale ta uroczystość, jako wiedeńska, nas nie obchodzi.

Więcej obchodzi nas uroczyste odebranie przysięgi od zatwierdzonego prezydenta miasta p. Ciuchcińskiego. Wybór zatwierdzony, przysięga odebrana, więc musimy się liczyć z faktem i życzyć p. Ciuchcińskiemu powodzenia. Z pewnością wszyscy odnosić się będą z życzliwością do nowego prezydenta, o ile on na to zasłuży, tj. o ile zechce być rzecznikiem spraw całego miasta, a nie samej Strzelnicy. Co się tyczy samego faktu zatwierdzenia, to dziwiło wszystkich, że kazano na to tak długo czekać. Powód tego czekania był bardzo poważny i nie ulega już dziś żadnej wątpliwości. Pan namiestnik Potocki czekał z aktami aż do wyboru dra Dulęby na posła z Brzeżan. Gdyby był dr. Dulęba przy wyborach przepadł, wybór p. Ciuchcińskiego, jako bądź co bądź nie całkiem wyraźny, nie zostałby był zatwierdzony, a namiestnictwo byłoby zarządziło ponowny wybór prezydenta miasta, forytując na tę posadę usilnie dra Dulębę. Dopiero po dokonanym wyborze dra Dulęby w okręgu brzeżańskim odesłało namiestnictwo akta magistrackie do Wiednia, celem zatwierdzenia. Prasa lwowska o tem dotąd nie wspomina, może ażeby nie mącić uroczystego nastroju koronacyi nowego prezydenta miasta.

W każdym razie Lwów ma już głowę i mamy prawo cieszyć się z tego, że nie jesteśmy już sierotami.

* * *

Jeszcze przedtem zawalił się kopiec Unii Lubelskiej, który, jak się okazało, miał się już dawno zapaść. Wiedziano o tem i czekano, aż nastąpi katastrofa. U nas dzieje się to bardzo często. Gdzie indziej wszczyna się krzyk, kiedy tylko grozi katastrofa i nawołuje się do zapobieżenia jej w czas, u nas wie się dawno o grożącej katastrofie, a podnosi się krzyk, gdy już jest po wszystkiem.

* * *

Za operetką żałuje Lwów bardzo. Ci wszyscy, którzy nie widzieli jeszcze „Wesołej wdówki“, pomimo że ją u nas 28 razy wystawiono, każdym razem przy wysprzedanym teatrze, o ile nie mają czasu lub pieniędzy na podróż do Krakowa, noszą się z zamiarem samobójstwa przez rzucenie się do sadzawki w parku stryjskim, lub dobrowolne oddanie się w ręce rakarza miejskiego. Lwów operetki potrzebuje na gwałt, jak ryba wody. Lwów bez operetki, to kogut bez ogona. Dlatego nie trzymajcie tam długo naszej opery i przysyłajcie nam ją jak najrychlej z powrotem.

* * *

W teatrze występuje Frenkel i tylko dzięki jego występom ludzie chodzą do teatru. Podaje on nam coraz nowe role z bogatego swego repertoaru a każda następna jest lepsza, mimo że reportoar układa się dorywczo, jak bądź z konieczności. Publiczność teatralna kocha się w Frenklu na zabój i przychodzi na przedstawienia przygotowana do serdecznego śmiechu. W tym tygodniu gra jednego wieczora dwie większe role: Geldhaba i szlachetnego zbója Straforela w „Romantycznych“.

Nadto przyjmuje się kochanego gościa z prawdziwą serdecznością na urządzanych na jego cześć bankietach, na których znakomity artysta tak pięknie deklamuje różne perełki humoru z bogatego swego skarbca i entuzyazmuje wszystkich. Dzięki Frenklowi dramat wytrzyma do lipca, poczem wyjeżdża do Krynicy.

Z wielkim żalem wypada mi wreszcie zanotować, że ustąpienie pp. Sosnowskich ze sceny lwowskiej jest niestety faktem dokonanym.

Kl.

wywołały tylko podniecenie wśród widzów. Oto dwaj startujący jeźdźcy: bar. Wodianer i porucznik Reimer upadli kilkakrotnie wraz z swymi końmi przy braniu przeszkód, mimo to jednak bez poważniejszego szwanku metę osiągnęli.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć, dokonanych w drugim dniu wyścigów, a przedstawiających zwycięsców poszczególnych biegów.



Wyścigi konne w Krakowie: Zwycięsca w biegu IV. rotm. Hagelin (koń Trawna).

CO TO JEST MIŁOŚĆ?

To jest ta, która wiecznie trwa,
A zawsze młoda, żywa,
Ta, która zbliża serca dwa
I łączy w dwa ogniwa.

To ona jest tym czystym tchem,
Co piersi twej użycza,
Jest ona przy ognisku twem
Płomieniem twego Znicza.

To siła jest wśród walk i prób
To czystych dusz przymierze —
To jest ta dłoń, co na twój grób
Przynosi kwiaty świeże!...

K. K.



Wyścigi konne w Krakowie: Zwycięsca w biegu piątym rotm. Koller (koń »Coquin«).

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

4 Ciąg dalszy.

— A więc to była pańska przyjaciółka?

— Myśl pan sobie o tem, co się panu podoba.

— Pan jej nie chcesz teraz kompromitować i zapewne nie wymieni pan jej nazwiska.

— Stanowczo nie wymienię.

— Ta dama jest niezawodnie zamężna, a pan utrzymując tajemnicę, działasz po rycersku — mówił komisarz ironicznie — ale bez pańskich wyjaśnień będziemy mogli dowiedzieć się wszystkiego. Byłoby atoli lepiej, gdybyś pan zupełnie szczerze wszystko tu wyznał, bo takie szczere zeznania łagodzą do pewnego stopnia winę oskarżonego.

— Ja jestem oskarżony? — zawołał nieznajomy takim głosem, w którym drgało prócz zdziwienia, największe oburzenie. — Kto mnie oskarża i o co?

— Ciąży na panu podejrzenie, że pan ową damę, z którą poszedłeś na wieżę, zamordowałeś.

Nieznajomy spojrzał na komisarza takim wzrokiem, jakby patrzał na waryata i rzekł najspokojniej:

— To już nie zuchwalstwo, ale wprost niedorzeczność i prawdziwie zdumiewać się muszę nad tym niewłaściwym konceptem.

— A więc pan zaprzeczasz temu?

— Nie tylko zaprzeczam, ale nawet od tej chwili na żadne pytanie pańskie odpowiadać nie będę.

— A więc dobrze; pytań nie będę zadawał, natomiast udasz się pan z nami. Proszę panów wszystkich.

Komisarz szepnął lekarzowi, aby ich zaprowadził do lokalu, w którym zwłoki się znajdują, dokąd się też zaraz udano. Był to pokój podobny do wszystkich, wyglądał na jakąś kancelaryę szpitalną, tylko w jednej ścianie znajdowała się zasłona. Gdy już wszyscy weszli, komisarz stanął z nieznajomym przy zasłonie i nagle za sznur pociągnął. Ukazały się zwłoki kobiety.

Nieznajomy zbliżył się do nich z ogromnem wzruszeniem, ale skoro się przypatrzył dokładnie, rzekł jakby sam do siebie, widocznie uspokojony:

— Chwała Bogu, to nie ona.

Zwrócił się do komisarza i mówił zupełnie spokojnie:

A więc ciąży na mnie podejrzenie, że tę nieszczęśliwą strąciłem z wieży. Czy ją kto strącił, czy też popełniła samobójstwo, tego nie wiem, ale to oświadczam stanowczo, że tej kobiety nigdy w życiu nie widziałem.

Spokój i stanowczość nieznajomego, jego postawa szlachetna, wyraz twarzy uczciwy, wywierały na wszystkich wrażenie takie, że zrazu zaczęto się dziwić, a potem i powątpiewać o winie podejrzanego. Nawet komisarz policyi był zakłopotany i zaniechał dalszych pytań, tylko, gdy wrócili do pokoju Daubrac'a, spisał protokół z całego zajścia. Lekarz i baron twierdzili wprawdzie ponownie, że nieznajomy jest tym samym mężczyzną, którego widzieli wchodzącego na wieżę w towarzystwie kobiety, nie mogli atoli stanowczo uznać, czy zamordowana jest tą samą osobą, która była w towarzystwie nieznajomego. Malarz widział wprawdzie doskonale, że jakiś mężczyzna zrzucił kobietę z wieży, ale rysów jego twarzy, ze znacznej odległości, dokładnie pochwycić nie zdołał i dlatego nie może się wcale przy tem upierać, jakoby nieznajomy był istotnie mordercą. Wobec tych zeznań nie mógł komisarz z całą stanowczością trwać przy swojem podejrzeniu, ale też nie mógł uwolnić nieznajomego, nie dowiedziawszy się kim jest i gdzie mieszka. Dlatego odezwał się znacznie uprzejmniej, niż dotąd:

— Przy zwłokach nie znaleziono ani biletu wizytowego, ani żadnego pisma, ani żadnego przedmiotu, wogóle nic, coby mogło ułatwić dowiedzenie się szczegółów o zamordowanej. Skutkiem tego zwłoki będą wystawione na widok publiczny. Tymczasem, skoro pan nie chcesz podać nazwiska swej towarzyszki na wieży, zechciej pan podać swoje. Wzywam pana w imieniu prawa o odpowiedź na pytania: jak się pan nazywa? gdzie pan mieszka? czem się pan zajmuje?

— Ani na te, ani na żadne inne pytania nie będę wcale odpowiadał — rzekł nieznajomy bardzo stanowczo.

— W takim razie muszę pana uwięzić i odesłać do sędziego śledczego.

— Być może, że sędziemu śledczemu będę na pytania odpowiadał, ale i to nie w przytomności tych oto panów, którzy są sprawcami mojego uwięzienia.

Nieznajomego odwieziono do sądu karnego, a zwłoki zamordowanej przeniesiono natychmiast do tak zwanej „morgi“.

Baron i malarz pozostali w mieszkaniu Daubrac'a. Oczywiście, że rozmawiali wciąż o tej sprawie, ale i lekarz musiał iść po chwili do swoich zajęć szpitalnych, więc pożegnał swoich gości. Baron chciał się też pożegnać z malarzem i pójść prosto do domu, ale mu się to nie udało, bo gadatliwy artysta nie uważał wcale na podawaną sobie do pożegnania rękę, jeno zalewał barona potokiem słów najrozmaitszej treści. Gdy zeszli przed „Hôtel-Dieu“ widzieli jeszcze tłumy gawiedzi, krążące koło Notre-Dame i rozprawiające o wydarzeniu. Mimowoli musieli słyszeć rozmaite zdania, wykrzykniki, nawet groźby. Rzecz ciekawa, że w całym tłumie powtarzała się opinia, iż morderstwo musiał spełnić jakiś cudzoziemiec, gdyż Francuz nie byłby zdolny do popełnienia tak ohydnej zbrodni. Zainteresowało to wielce barona, więc zwracając się do malarza, rzekł z cicha:

— Słyszysz pan, oto „vox populi“. Nie jestem wprawdzie wielbicielem ulicznych tłumów, ale tym razem zgadza się z mem przekonaniem głos ludu najzupełniej. Ten nieznajomy nie jest mordercą.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Wymienić po jednym utworze z podanych powieściopisarzy, by początkowe litery dzieł dały nazwisko polskiego powieściopisarza: Korzeniowski, Kaczkowski, hr. Łoś, Niemojewski, Moor, Rodziewicz, Orzeszkowa, Jokay, Sienkiewicz.

Logogryf.

Ułożył Koliba, Zakopane.

Z następujących zgłosek: an, an, bzy, co, co, czyc, dro, e, ga, juk, ma, me, mon, la, ło, ny, o, pa, pia, pie, pie, re, ro, rog, ryt, ski, łó, wek, wi, woj, ze, zor, ułożyć 13 wyrazów, których litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzą tytuły czterech czasopism polskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwa dawna służącego. 2. Inaczej kontroler. 3. Dzikie zwierzęta. 4. Pensyonowany urzędnik. 5. Zielska. 6. Miasteczko w Kaliskiem. 7. Gatunek wina. 8. Potrawa z ciasta. 9. Styl francuski. 10. Pierwiastek chemiczny. 11. Dawny urząd. 12. Ptaki. 13. Pisarz polski.

Rozwiązanie zagadek z Nru 23.

Logogryf.

K, **Pol**, **Jacek**, **lin**, **o**, **Pogoń**, **malarya**, **karaś**, **Inn**, **Orkan**, **Marokko**, **Dziewanna**, **koliber**, **topaz**, **era**, **Kazań**, **Korybut**, **hegemonia**, **dzbanek**, **Nil**, **Draga**, **opłatek**, **parasolka**, **poranek**, **limun**, **osa**, **Roman**, **kanonik**, **Andaluzya**, **Sienkiewicz**.

Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Małczyński Pikułowice, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, H Andrysik Dąb, Robert Chęciński Lwów, K. Fuchs Czeremchów, Jaworski Zakopane, M. Świtlikowa Rzeszów, K. Ludwig Borysław, F. Niepokój Krosno, J. Kaczyńska Nyszków, S. i M. Łozickie Nowo-Radomsk, S. Gaideczka Huta różańska, M. Opolska Czarny Dunajec A. Bogdalska Koropuż, N. Różański Libnsza, F. Kalita Gawłuszowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Robert Chęciński we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dzieło Kutrzeby: »Historya ustroju Polski w zarysie«.